

Międzymorze i Rosja

Wybór tekstów Leszka Moczulskiego
1985-2015

Wybór: Marcin Furdyna, Mirosław Lewandowski

Skład i korekta: Marcin Furdyna

Warszawa 2015

Spis treści

Teksty z lat 1985-1994

Geopolityka.....	4
Międzymorze.....	40
Integracja Międzymorza i zjednoczenie Europy.....	63

Teksty z lat 2013-2015

Gospodarzem sytuacji na Ukrainie jest naród.....	75
Na naszych oczach kształtuje się świadomość wspólnoty losu wszystkich Ukraińców.....	86
Czy może dojść do „drugiego Monachium”?.....	101
Rosyjska wydmuszka.....	110
Marzenia w Rosji nazywają się geopolityką.....	118
Putin nie jest demiurgiem.....	135
Posłowie – Geopolityka Rosji.....	143

Wstęp

Pomysł zbioru poniższych tekstów prof. Leszka Moczulskiego urodził się przypadkiem, podczas mojej rozmowy z p. Mirosławem Lewandowskim. Początkowo zamierzałem zebrać tylko te artykuły i wywiady, które powstały po tym, jak pod koniec 2013 r. prezydent Wiktor Janukowycz w ostatniej chwili zdecydował się nie podpisywać umowy stowarzyszeniowej Ukrainy z Unią Europejską na szczycie Partnerstwa Wschodniego w Wilnie. Pan Lewandowski zaproponował, aby dać temu zbiorowi solidny fundament i przypomnieć również niektóre teksty Moczulskiego z lat 80-tych i 90-tych. Był to strzał w dziesiątkę – bowiem trafność analizy sprzed ćwierćwiecza tylko uwiarygodnia jego tezy dotyczące obecnego konfliktu rosyjsko ukraińskiego.

Wszystkie prezentowane tutaj teksty są dostępne w całości w Internecie – zadaniem tej publikacji jest zebranie ich w jednym miejscu. Czytelników odsyłamy ponadto do książek Moczulskiego poświęconych w całości lub w większej lub mniejszej części zagadnieniu Międzymorza: „Narodziny Międzymorza. Ukształtowanie ojczyzn, powstanie państw oraz układy geopolityczne wschodniej części Europy w późnej starożytności i we wczesnym średniowieczu”, „Europa ojczyzn 2004. Geopolityka, gospodarka, cywilizacja” oraz „Geopolityka. Potęga w czasie i przestrzeni”.

Niniejszy zbiór zamyka posłowie, które jest relacją w wykładu Moczulskiego w Bibliotece Publicznej m. st. Warszawy z czerwca 2015 r. pod tytułem „Geopolityka Rosji”.

Marcin Furdyna

Geopolityka

„Geopolityka” w całości została opublikowana po raz pierwszy w 1985 r. nakładem Wydawnictwa Polskiego. Składa się ona z trzech części, z których pierwsze dwie ukazały się po raz pierwszy w piśmie „Droga” nr 14-15 (lipiec-grudzień 1984 r.). Całość została napisana (w ciągu kilku miesięcy) po zwolnieniu Leszka Moczulskiego z więzienia na mocy amnestii w sierpniu 1984 r. a przed jego ponownym uwięzieniem w marcu 1985 r. (Opis z wydania z 1988 r.). Źródło: www.earchiwumkpn.pl

I. ZSRR PRZED WIELKIM ZWROTEM

Wszyscy mówią o geopolityce, wielu nią uzasadnia swe oceny rzeczywistości politycznej. Jeżeli przez geopolitykę rozumieć determinizm geograficzny, tj. przekonanie, że geografia pod każdym względem, ostatecznie i na zawsze rozstrzyga o losie narodów – mamy do czynienia z wierutną bzdurą. Przykładem jest stereotyp głoszący, że Polska musi zawsze ulegać woli Rosji lub Niemiec, bo jest malutkim krajem między dwoma olbrzymami. Takie stwierdzenie, słuszne dla pewnych momentów historycznych, nie ma żadnej wartości uniwersalnej, ponadczasowej i wyprowadzanie z niego jakichkolwiek wniosków jest intelektualnie żałosne. Jeżeli natomiast uważamy geopolitykę (zgodnie z jej własnymi założeniami) za dyscyplinę badającą zmienne układy polityczno-przestrzenne, to należy najpierw poddać je rzetelnej analizie i z niej dopiero wyprowadzać wnioski. Nie powinno zaskakiwać, że na przestrzeni względnie krótkiego czasu wnioski mogą być diametralnie odmienne. Układy polityczno-przestrzenne, a więc geopolityczne – są bardzo dynamiczne i zmieniają się nieprzerwanie. Zwłaszcza poszczególne elementy tych układów

przeobrażają się bezustannie, a to zasadniczo odmienia relacje między nimi.

Poniższy artykuł otwiera cykl, w którym poddamy analizie aktualne układy geopolityczne w jakich znajduje się obecnie Polska. Aktualne, to znaczy obecne, odnoszące się do ostatniego ćwierćwiecza XX w. Omówimy stan i kierunki przekształceń wewnętrznych, a także determinanty głównych elementów układu ZSRR, Niemcy, Europa Zachodnia i leżące między nimi Międzymorze wraz z Polską, oraz wynikające stąd polskie ograniczenia i możliwości. Analiza dokonywana jest w kategoriach geopolitycznych. Oznacza to, że wyłącza poza ramy rozważań takie niewyliczalne ewentualności jak wojna nuklearna albo radykalne całościowe zmiany układu – zakładając, że sprawy rozwijać się będą względnie normalnie. Polityka nigdy nie może przyjąć takiego założenia. Geopolityka musi.

Czy Związek Radziecki przetrwa do roku 1984? – pytał Almaryk. Przetrwał. Ale w jakim stanie wchodzi w ostatnie piętnastolecie XX w. W 67 lat po rewolucji, system radziecki jest już starszy niż w roku 1917 był system zmodernizowanego caratu, stworzony przez Aleksandra II na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego wieku. Rzecz jednak nie tylko w tym, że ZSRR jest krajem o najstarszym ustroju państwowym na euroazjatyckim kontynencie. Kryzys wewnętrzny tego olbrzymiego supermocarstwa ma o wiele bardziej materialny wymiar.

1. Państwo rosyjskie czy azjatyckie?

Rosjanie są w ZSRR narodem panującym. To ich państwo. Czy ten stan będzie jednak trwać długo? Przyrost naturalny u Rosjan spadł do 4%, gdy wśród narodów azjatyckich ZSRR przekracza 20%. Obecnie co trzecie dziecko rodzi się w rodzinach muzułmańskich, a 40% ogółu przyrostu naturalnego przypada na narody nieeuropejskie. W ciągu dwu pokoleń skład narodowościowy ZSRR ulegnie zasadniczej zmianie: więcej niż połowę ludności stanowić będą narody azjatyckie, a Rosjanie spadną do najwyżej 1/3 ogółu. Czasu na przeciwdziałanie jest jednak dużo mniej: jeśli obecne tendencje nie zostaną powstrzymane, już około roku 2000 będzie ostatecznie zdeterminowane, że Azjaci zdominują ZSRR. Już dzisiaj potencjał demograficzny Rosjan jest zbyt słaby, aby wystarczyło ludzi do trzymania w ryzach Imperium. Gdy w Rosji carskiej praktycznie wszystkie stanowiska urzędników i oficerskie były obsadzone przez Rosjan, a armia i policja w ponad 90% była rosyjska, gdy jeszcze 20 lat temu przestrzegano zasady, że 80% funkcjonariuszy i 66% sił zbrojnych składa się z Rosjan – to dziś brakuje ludzi, aby utrzymać takie relacje. Coraz więcej pozycji oddawać trzeba *innorodcom*. Załamuje się kolonizacja rosyjska. Na macierzystym obszarze Rosji, z wyłączeniem aglomeracji Moskwy i Leningradu, mieszka dziś ok. 10% ludzi mniej, niż w 1950 r. Rezerwuar ludnościowy, który zapewniał kolonizowanie przez Rosję Syberii, ale na obszarach zamieszkałych przez nie-Rosjan – jest bliski wyczerpania. Procentowy udział Rosjan w zaludnieniu poszczególnych republik maleje, na Zakaukaziu i w Azji Centralnej w tempie zastraszającym. Zaludnienie wschodniej Syberii i Dalekiego Wschodu zostało zahamowane. Równocześnie gwałtownie rozwijają się narody azjatyckie. W ciągu ostatnich dwudziestu lat Kirgizi, Turkmeni, Uzbeki i Tadźycy podwoili

swoją liczebność. Na obszarze zamieszkałym przez te cztery narody – cztery republiki środkowoazjatyckie, między Morzem Kaspijskim a Chinami – tworzy się demograficzny punkt ciężkości całego ZSRR.

Często mówi się, że tego rodzaju zmiany relacji narodowych doprowadzą do rozpadu ZSRR, ponieważ poszczególne narody zdążać będą do emancypacji i utworzenia własnych państw narodowych. Zwłaszcza tendencja odśrodkowa narodów muzułmańskich jest groźna. Taki rozwój sytuacji jest wielce prawdopodobny. Nie jest to jednak ewentualność najgorsza dla Rosjan. Mimo rozpadu ZSRR, państwo rosyjskie zachowałoby większą część obecnego terytorium. Znacznie gorszą perspektywą jest zachowanie ZSRR przy zepchnięciu Rosjan do pozycji narodu zależnego i przyjęcia funkcji narodu panującego przez Azjatów. Byłby to współczesny odpowiednik dawnej niewoli tatarskiej Moskwy z XIII-XV w. Tak wyraźnie zarysowany proces przeobrażeń narodowych w ZSRR wymaga już dziś szybkiego przeciwdziałania. Jeśli Rosjanie mają utrzymać swoją pozycję narodu panującego (a przynajmniej współpanującego), konieczne jest gwałtowne zwiększenie przyrostu naturalnego Rosjan. Władze na Kremlu wiedzą o tym doskonale i nie ukrywają swego niepokoju, ale podjęte w ostatnich latach różnorakie działania nie dały dotychczas jakichkolwiek zauważalnych wyników.

2. Nie ma już nadmiaru ludzi

Przez całe stulecia było powszechnie wiadomo, że czego jak czego, ale ludzi w Rosji nie brakowało. Dzisiaj to już historia. Obecnie ze wszystkich potrzeb ZSRR najbardziej dotkliwie odczuwa brak ludzi. Potrzeby są dwojakie: chodzi o ludzi potrzebnych do zasiedlania Syberii oraz o siłę roboczą.

Od dawna już wiadomo było, że utrwalanie granicy od strony Chin wymaga zwiększenia wału demograficznego, rozciągającego się od Pacyfiku po ziemię w Kazachstanie. W 1970 r. obliczono, że wał ten powinien do roku 2000 objąć około 50 mln ludzi. Połowa tego trzydziestolecia już upłynęła, a w zaludnianiu Syberii nie nastąpiły żadne istotne zmiany. Na 6 milionów mieszkańców radzieckiego Dalekiego Wschodu dziś przypada 90 mln Chińczyków w Mandżurii, a w roku 2000 będzie ich w tej prowincji przynajmniej 150 mln. Jak długo może utrzymać się sytuacja, gdy na południe od Amuru ludziom brakuje przestrzeni do życia, a na północ nadal setki tysięcy kilometrów kwadratowych dobrych terenów osiedleńczych pozostaje prawie bezludne?

Brak siły roboczej grozi nie w przyszłości, ale rozkłada gospodarkę radziecką już dziś. Wzrost produkcji w ZSRR zależy bezpośrednio od wzrostu zatrudnienia. W okresie 1965-1975 zatrudnienie wzrastało średnio o 2% rocznie. W latach 1976-80 o 1,1%. Plan na okres 1981-1985 przewidywał wzrost o 0,5% rocznie, ale jak dotychczas nie osiągnięto tego nawet w połowie. Dane te odzwierciedlają jedynie pół prawdy. Dotyczą globalnie całego Związku Radzieckiego, gdy sytuacja w poszczególnych częściach tego wielkiego kraju rysuje się odmiennie. Zapotrzebowanie na siłę roboczą występuje głównie w strefach północnej i środkowej. Natomiast cały przyrost siły roboczej jest na południu. Przemieszczenie siły roboczej z południa na północ okazało się prawie niemożliwe, chyba, że przymusowo i za cenę powiększenia konfliktów społecznych i antagonizmów narodowych. Zresztą Turkmeni czy Uzbegy nie wytrzymują klimatycznych warunków północy. Dlatego w ciągu bieżącej pięcioletki liczba zatrudnionych w Federacji Rosyjskiej (a także Ukrainskiej SRR) ulegnie zmniejszeniu. Szczególnie krytyczna jest sytuacja w rolnictwie,

gdzie przeważającą część zatrudnionych stanowią starcy i kobiety. Podejmowane środki na rzecz zwiększenia przyrostu naturalnego nie dają poprawy. Na wsi trudno jest nawet zapewnić mężów dla wszystkich młodych kobiet. Radykalna zmiana sytuacji wymaga poważnego zwiększenia funduszu populacyjnego, a więc poważnego zwiększenia budownictwa mieszkaniowego, opieki socjalnej i zdrowotnej, zaopatrzenia rynku i w ogóle poziomu konsumpcji – a także ogromnego zmniejszenia zatrudnienia kobiet. Jest to możliwe, jeśli będą środki na tego rodzaju „nieprodukcyjne” inwestycje oraz na modernizację i automatyzację licznych dziedzin wytwórczości, aby zastąpić energię pracy ludzkiej.

3. Niedostatek energii

Spodziewany już od kilku lat (patrz „Droga” nr 2/78) kryzys energetyczny ujawnił się w ZSRR bardzo wyraźnie. Wprawdzie najgorsze ma gospodarka radziecka jeszcze przed sobą, ale sytuacja dzisiejsza jest bardzo ciężka. Wynika to przede wszystkim z niedostatku ropy naftowej. Związek Radziecki posiada olbrzymie złoża ropy naftowej i jest jej największym światowym producentem. To prawda, ale niezupełnie. Czynne złoża ropy naftowej wyczerpuje się szybko wskutek rabunkowej eksploatacji, zaś na uruchomienie złóż rozpoznanych, rozmieszczonych na północy i wschodzie, brak kapitałów, nowoczesnej technologii, infrastruktury. W następstwie wzrost wydobywania ropy naftowej w ZSRR od końca lat siedemdziesiątych uległ zahamowaniu.

W dziesięcioleciu 1965-1975 wydobywanie zwiększyło się o ok. 250 mln ton, w pięcioleciu 1976-1980 miało wzrosnąć o dalsze 150 mln ton, ale powiększyło się tylko o 100 mln ton. Gdyby nawet miano wykonać w całości obecny plan pięcioletni, to wydobywanie w 1985 r.

obliczane średnio na 630 mln ton, będzie niższe od planowanego na rok 1980 wydobycia 645 mln (wydobyto 603 mln ton). Co gorsza, eksport ropy musi systematycznie rosnać. Zniżki cen powodują konieczność zwiększenia wywozu, aby uzyskać ten sam efekt finansowy, w następstwie czego, przy utrzymaniu spożycia na zwiększonym poziomie, gospodarka radziecka (i całego obozu) otrzymuje coraz mniej ropy. Ponieważ wzrost gospodarczy nie jest obecnie możliwy bez wzrostu zużycia ropy naftowej, już sam ten czynnik bezwzględnie blokuje radziecką gospodarkę. Sytuację łagodzi nieźle rozwijające się wydobycie gazu. Ale i w tej dziedzinie dynamika maleje. Jeśli w pięciolatce 1966-1970 produkcja gazu wzrastała przeciętnie rocznie wobec poprzedniego pięciolecia o 9,2%, a w pięciolatce 1975-1980 jeszcze o 8,5%, to w obecnym pięcioleciu planuje się tylko 6,6%. Podobnie spada dynamika wzrostu produkcji energii elektrycznej. W trzech ostatnich pięcioleciach wynosiła ona odpowiednio: 7,9%, 7,0%, 4,5%, a na obecne planuje się 3,7%. Najgorsze gospodarke radziecką dopiero czeka. Przy bliskiej już stagnacji wydobycia gazu oraz zmniejszenia się wydobycia ropy, wskutek wyczerpywana się złóż kryzys energetyczny może zadławić całą gospodarkę. Zwłaszcza, że średni koszt wydobycia tony ropy czy gazu w ZSRR jest najwyższy na świecie i stale rośnie.

4. Wygasanie impetu rozwojowego i luka technologiczna

W ostatnim ćwierćwieczu Związek Radziecki zrobił olbrzymi skok materialny – potencjał ZSRR uległ zwielokrotnieniu. Wbrew zapowiedziom nie udało się jednak ani zrównać ze Stanami Zjednoczonymi, ani nawet zbliżyć do ich poziomu. Obecnie impet rozwojowy ZSRR prawie całkowicie wygaś. Gdy w dziesięcioleciu 1955-75 przeciętny roczny wzrost nakładów na inwestycje wynosił

7,3%, to w okresie 1976-80 spadł do 3,5%, a na obecną pięcioletkę planowany jest na ok. 2% (wykonywany znacznie niżej). Biorąc pod uwagę wzrost cen oraz znaczne zwiększenie kosztów inwestycji, mamy do czynienia nie ze wzrostem, a ze spadkiem. Co ważniejsze, w sytuacji obecnej dekady, ZSRR nie jest w stanie zdynamizować procesów rozwojowych. Brakuje wszystkiego: środków, energii, ludzi. Poważne ograniczenie, o ile nie wręcz wstrzymanie zachodnich kredytów jeszcze bardziej pogorszyło sytuację. Jest to tym istotniejsze, że imponujący wzrost ostatniego ćwierćwiecza umożliwiony był w znacznym stopniu systematycznie rozwijającą się współpracą gospodarczą z Zachodem. Impas gospodarczy ZSRR w ostatnich latach wyraźnie się ustalił. Wydobycie się z niego jest konieczne, jeśli ZSRR ma podolać potrzebom wynikającym z problemów wewnętrznych i zewnętrznych.

Obecnie jednak Związek Radziecki najwyraźniej nie jest zdolny do rozwiązywania swych kłopotów ekonomicznych. Wymaga to wyraźnie zastrzyku z zewnątrz: zasadniczej, masowej pomocy ze strony Zachodu, zwłaszcza kredytów inwestycyjnych i dostaw technologii. Opóźnienie technologiczne ZSRR wobec rozwiniętych krajów Zachodu i Japonii jest oczywiste. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę z tego, w jak szybkim tempie ono rośnie. Luka technologiczna występowała zawsze, lecz w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych można było myśleć o jej likwidacji własnym wysiłkiem, przy względnie niewielkim imporcie samej myśli technologicznej. W latach siedemdziesiątych okazało się to niemożliwe, a Związek Radziecki, opóźniony już o całe pokolenie, tylko dzięki masowemu importowi technologii mógł walczyć, aby luka nie powiększała się zbyt szybko. Jednak w okresie 1979 (Afganistan) – 1983 (stan wojenny w PRL) import technologii

został gwałtownie powstrzymany. Równocześnie skok technologiczny na Zachodzie jest tak szybki, że jeśli ZSRR nie będzie miał dostępu do nowoczesnej technologii przez następne kilka lat, faktycznie spadnie do poziomu średniorozwiniętych krajów Trzeciego Świata. W tej chwili chodzi już nie tylko o lawinowo rosnący dystans do światowej czołówki, a o utrzymanie istniejącego bezwzględnego poziomu nowoczesności. Brak importu urządzeń i części zamiennych do parku maszynowego opartego na zachodnich technologiach importowanych w latach siedemdziesiątych grozi spadkiem poziomu nowoczesności do standardów z lat sześćdziesiątych. Byłby to wielki regres nie tylko w stosunku do zachodniej Europy, ale i takich krajów jak Brazylia czy Indie. Jest tylko jedna dziedzina, w której ZSRR usiłuje utrzymać równy dystans do Zachodu. Są to zbrojenia, a ściślej mówiąc, ich wybrane dziedziny. ZSRR jest w stanie skonstruować własny odpowiednik pocisku Cruise. Rzecz w tym, że wybudowanie wystarczającej serii tych pocisków pochłonie tyle czasu, że w momencie osiągnięcia przez nie gotowości operacyjnej będą już przestarzałe.

5. Pułapka zbrojeń

Tak doszliśmy do zbrojeń, które są kolejnym przejawem ogólnego kryzysu ZSRR. Odkąd istnieje to państwo, nigdy nie brakowało pieniędzy na broń. Olbrzymia część dochodu narodowego szła na przygotowania wojny, a ponieważ blisko 40 lat żadnej wielkiej wojny ZSRR nie prowadził, kolejne generacje uzbrojenia produkowane w masowej skali, gdy stały się już przestarzałe, wyrzucano na złom. Dziś jednak kontynuowanie tej linii permanentnych zbrojeń staje się niemożliwe. Po pierwsze nie pozwala na to skok technologiczny. Na przykład ładunki

neutronowe (których produkcję Raegan już zarządził, a które jeszcze w bieżącej dekadzie znajdą się w wyposażeniu wojsk NATO) spowodują, że wielkie zgrupowania pancerne staną się operacyjnie bezwartościowe (tracą szansę względnie bezpiecznego ześrodkowania się i rozpoczęcia ataku) – w ogromnym stopniu pozbawi to siły konwencjonalne ZSRR w Europie zdolności ofensywnych. Nadspodziewanie szybki jest rozwój prac amerykańskich nad bronią antyrakietową (udane próby strącenia międzykontynentalnych pocisków balistycznych w szczytowym momencie lotu, zaawansowane prace nad laserami, które mają zniszczyć zdolności ofensywnych radzieckich sił uderzenia nuklearnego). W sumie – zwykle kontynuowanie dotychczasowych zbrojeń zaczyna tracić sens. Aby odzyskać pełną zdolność ofensywną, ZSRR musi zmienić generalną koncepcję całych swych sił zbrojnych.

Tu dochodzimy do drugiej przyczyny: niedostatku środków. ZSRR nie jest w stanie utrzymać dynamiki zbrojeń na poziomie lat siedemdziesiątych, a cóż dopiero podjąć nową rundę wyścigu – już na poziomie „gwiazdnych wojen”. Stosunki militarne Wschód-Zachód ukazują się powszechnie pod kątem przewagi jednej ze stron. Słusznie, bo przewaga jest zasadniczą kategorią każdej strategii. Rzecz w tym, że chodzi o inną przewagę w wypadku NATO, a inną w wypadku ZSRR. Zachód potrzebuje przewagi wystarczającej do powstrzymania ZSRR od rozpoczęcia wojny. Jest to przewaga względnie niewielka, paroprocentowa, a nie wymaga jakichś specjalnych zdolności ofensywnych. Wystarczy skuteczne odstraszenie. ZSRR dąży do przewagi, która mu pozwoli nie tylko rozpocząć, ale i wygrać wojnę. Chodzi więc o przewagę przynajmniej dwukrotną oraz o pełną zdolność ofensywną. Obecnie jest oczywiste, że osiągnięcie takiej przewagi przez ZSRR

w konkretnie przewidywalnej przyszłości będzie niemożliwe. Choćby „na razie”, ale to „na razie” liczone być musi w latach. W ten sposób ZSRR znalazł się w pułapce zbrojeniowej. Dysponuje olbrzymimi siłami zbrojnymi, lecz stają się one nieadekwatne do nowych warunków strategicznych. W kategoriach wojny globalnej, wojny kontynentalnej (np. w Europie), a nawet peryferyjnej wojny ograniczonej (od pięciu lat ZSRR nie może rozstrzygnąć wojny afgańskiej), współczesne radzieckie siły zbrojne deprecjonują się z każdym rokiem. Mówiąc inaczej, staje się coraz mniej przydatnym narzędziem imperialnej polityki Kremla. A przecież na stworzenie takich sił zbrojnych, jakie ma ZSRR przez dziesięciolecia wydatkował ogromną część dochodu narodowego. Ich wymogom podporządkowano poszukiwania naukowo-badawcze i całą strukturę przemysłu. Odbywało się to i odbywa kosztem całej gospodarki narodowej, przekraczającym wszelkie racjonalne granice. Żeby tylko. W ostatnich kilkunastu latach liczebność sił zbrojnych ZSRR zwiększyła się o ok. 2 mln ludzi. Ponad 60% z nich to Rosjanie, ponad 75% zabrano ze wsi. Zaowocowało to kryzysem radzieckiego rolnictwa, niemogącego sobie poradzić z ogromnym deficytem rąk do pracy, ale co gorsza, zaowocowało natychmiastowym głębokim spadkiem przyrostu naturalnego, zwłaszcza w samej bazie demograficznej państwa – na wsi rosyjskiej. W kontekście tego, co pisałem wyżej, widać jak koło się zamyka.

6. Realia kształtują politykę

Stan dzisiejszy jest poważny, ale przyszłość rysuje się o wiele bardziej dramatyczna. Na Kremlu coraz wyraźniej zdają sobie sprawę, że zagrożenia, przed którym stoi ZSRR, dotyczą samego istnienia tego państwa, a przynajmniej jego rosyjskiego

charakteru, zaś na bliższą metę jego supermocarstwowej pozycji. Trudno bowiem być supermocarstwem, jeżeli dyspozycyjny potencjał staje się względnie coraz mniejszy, a poziom nowoczesności relatywnie cofa się w kierunku bardziej dynamicznych krajów Trzeciego Świata. Trudno utrzymać najrozleglejsze państwo na kuli ziemskiej, jeśli przybywa rocznie mniej ludzi, niż w Korei, Tajwanie i Sri Lance. Trudno zachować rosyjski charakter, jeżeli przeważać będą Azjaci. A taka jest realność. Czasu już nie ma, aby czekać. Jeśli przywódcy moskiewscy nie zdobędą się w najbliższych latach na rzeczywiście realne decyzje, katastrofy rosyjskiego ZSRR nie da się uniknąć. Konieczne jest konsekwentne przerzucenie sił i środków na nowe cele. Najkrócej mówiąc, wymaga to gwałtownego przyśpieszenia tempa rozwoju i modernizacji radzieckiej gospodarki, stworzenia, zwłaszcza dla Rosjan, wystarczającego funduszu populacyjnego, zwiększenia atrakcyjności pożądaných modeli postaw społecznych i świadomości narodowej. A więc konieczność radykalnych zmian. Sama zmiana polityki, gospodarczej i społecznej, wewnętrznej i zagranicznej, już nie wystarcza. Państwo radzieckie w jego obecnym kształcie, uformowanym generalnie jeszcze w latach dwudziestych, nie jest dopasowane do potrzeb, jakim będzie musiało podołać. Musi ulec zasadniczym strukturalnym przeobrażeniom. Wcale nie muszą to być przeobrażenia demokratyczne. Jeśli nie dojdzie do jakiejś gwałtownej, nieprzewidzianej katastrofy, a ZSRR będzie trwać, zachowa najprawdopodobniej swój despotyczny totalitaryzm. Tyle tylko, że będzie to inny totalitaryzm, przynajmniej tak odmienny od obecnego, jak zmodernizowane samodzierżawie Aleksandra II różniło się od tępego systemu mikołajewskiego. Taki Wielki Zwrot jest na pewno konieczny. Jeśli Rosjanie nie potrafią go szybko

przeprowadzić, tracą zapewne swą ostatnią szansę historyczną. Dokonanie Wielkiego Zwrotu będzie jednak niezmiernie trudne. Jakkolwiek świadomość jego konieczności (bez wątpienia nie pełną) mieli Breżniew i Andropow, a ma Czernienko, to nikt z radzieckich starców nie podejmie tego dzieła. Zrobią to dopiero ludzie młodzi, tacy, dla których horyzont czasowy roku 2000 jest czymś programowo osiągalnym, a więc ludzie przed sześćdziesiątką (więc raczej Gorbaczow niż Romanow, ale najpewniej jeszcze ktoś inny). Im dłużej przetrwa rządząca dziś ekipa, tym trudniejsze będą warunki, w jakich przeprowadzony zostanie Wielki Zwrot. Zważywszy, że jego dokonanie trwać będzie przynajmniej dziesięć lat, ten końcowy okres XX w. stanie się dość szczególny. Związek Radziecki zdominowany będzie sprawami wewnętrznymi. Zwłaszcza, że ZSRR i tak traci przynajmniej okresowo, zdolność do prowadzenia ekspansywnej polityki globalnej. Dysproporcja między potrzebami tej polityki, a potencjałem dyspozycyjnym ZSRR narastała całymi dziesięcioleciemiami, a obecnie zbliża się do punktu krytycznego, może zresztą już go przekroczył. Podstawowym wymogiem jest odangażowanie się na zewnątrz i skupienie na problemach wewnętrznych. Oznacza to konieczność powstrzymania parcia na zewnątrz, zwłaszcza w Europie, wycofania się z wyścigu zbrojeń i znalezienia jakiegoś *modus vivendi* w stosunkach z Zachodem, głównie z USA, które m.in. zapewniają ZSRR dopływ nowoczesnej technologii gospodarczej. Tak ukierunkowana polityka już się w Moskwie formuje, tyle że na razie obciążona względami prestiżowymi, a więc nieskuteczna. Realia czasu prowadzą więc nie tylko do zmian ustrojowych, ale kształtują politykę radziecką.

7. Polityka i geopolityka

Prowadzenie polityki wymaga odpowiedzi na liczne pytania. Jak zachowa się ten czy inny przywódca, jaki kierunek przyjmą kolejne kierownictwa? W jaki sposób będą rozstrzygane poszczególne problemy? Jakie są warianty rozwoju sytuacji? Geopolityka nie odpowiada na takie pytania. Bada zmieniające się układy polityczno-przestrzenne oraz ich poszczególne elementy. Analiza współczesnego Związku Radzieckiego, rozpatrywanego jako element takiego układu, wskazuje, że jest on obecnie inny niż ćwierć, ale też inny niż pół wieku temu, a przez to inaczej wpływa na cały układ.

Trzy generalne wnioski są pewne.

Związek Radziecki jest w pogłębiającym się kryzysie, a sprawy wewnętrzne w powiększającym się stopniu zdominują ogół jego działań. To raz.

Nie w Związku Radzieckim nie zapowiada bliskiej rewolucji demokratycznej, nie jest jej zapowiedzią umacnianie się czynnika azjatyckiego. To dwa.

A po trzecie zarówno demograficzny, jak gospodarczy punkt ciężkości ZSRR przesuwa się do Azji. Są to pierwsze, wstępne wnioski, jakie z geopolityki można wyprowadzić dla potrzeb polityki.

II. MIĘDZY ROSJĄ A POLSKĄ

Rosja zaczyna się na wschód od Dniepru, a współczesna Polska kończy się nad Bugiem. Między tymi krajami rozpościera się szeroki pas oparty o morza: Czarne i Bałtyckie. Kiedyś był on częścią Rzeczypospolitej, a od połowy XVII w. zaczęła zagarniać go Rosja. Stare rozgraniczenie przetrwało jednak w postaci granic etnicznych i ich pochodnej – podziałów administracyjnych. Ta część Słowian wschodnich, która znalazła się w orbicie Rzeczypospolitej, uformowała ostatecznie narody ukraiński i białoruski. Ta część, która jeszcze w XIII-XIV w. podporządkowana została mongolskiemu imperium Tatarów – stworzyła naród rosyjski. Dzisiejsza granica między republikami rosyjską, a białoruską, jest niemal identyczna z granicą sprzed I rozbioru. Granica wschodnia republiki ukraińskiej przebiega tam, gdzie granica Rzeczypospolitej w pierwszej połowie XVII w. Wschodnia granica Estonii i Łotwy należy do najstarszych w Europie. Jeśli Polska i Rosja są głównymi ośrodkami państwowymi nie tylko Słowiańszczyzny, ale całej wschodniej części Europy, to stosunek sił między nimi zawsze był prostą pochodną faktu przynależności ziem leżących między nimi. Od momentu, kiedy sięgnęła po lewobrzeżną Ukrainę i Kijów, a więc od połowy XVII w. – Rosja stała się rywalem silniejszym. Uzyskując w końcu XVIII w. ziemie Rzeczypospolitej po Bugu i Niemen, uzyskała – jak się zdawało – trwałą przewagę nad Polską. Pozwoliło jej to w XIX w. sięgnąć po całość.

1. Konsekwencje rozbiorów

W XIX w. wytworzył się układ geopolityczny, który ciąży nad naszą świadomością dziś jeszcze. Najważniejszym zjawiskiem tego czasu było przerwanie formowania się nowożytnego, pluralistycznego narodu, obejmującego całe społeczeństwo I Rzeczypospolitej. Rosji udało się skutecznie wyprzeć polską obecność materialną i kulturową z ziem za Bugiem, ale poniosła kieszę również polityka pełnej rusyfikacji tego obszaru. W efekcie na wąskiej bazie etnicznej utworzyły się nowe narody, często kosztem odcięcia własnych, spolonizowanych, a w mniejszym stopniu zrusyfikowanych warstw wyższych. Słabnięciu obecności polskiej, aż po jej zanik, obserwowanemu przez ponad półtora stulecia, do połowy naszego wieku, towarzyszył wzrost obecności rosyjskiej, tak bardzo znaczny, że w niektórych regionach stanowi ona trzecią część populacji. W XIX w. głównym przeciwnikiem Rosji na tych ziemiach byli Polacy.

W obecnym stuleciu stały się młode narody „niehistoryczne” – według określenia Marksa. Odzyskując niepodległość w 1918 r., a utrzymując odrębność państwową po 1945 – Polacy uniknęli najgorszego. Nie oszczędzono tego naszym wschodnim sąsiadom. Poddani zostali procesom maksymalnego wynaradawiania, przemieszczania i eksterminacji. Szczególnie tragiczny był los Ukraińców. Ten naród, który w początkach XX w. miał szansę, aby nie tylko prześcignąć liczebnie Polaków, ale i dorównać Rosjanom, w kilku fazach stał się przedmiotem ludobójstwa na bezprecedensową skalę. Na przestrzeni dwu pokoleń wymordowano kilkanaście milionów Ukraińców, a miliony przesiedlono. Straszliwe ofiary ponieśli również Białorusini, a po roku 1940 także narody bałtyckie. Eksterminacja, masowe

wywózki i rusyfikacja prowadzić miały do zniszczenia odrębności i wtopienia tych narodów w jeden wielki naród rosyjski czy też radziecki.

2. Odwrót Rosji

W drugiej połowie XX w. trend zaczyna się odwracać. Parcie Rosjan na zachód słabnie, zanika, a nawet zaczyna się cofać. Wynika to z tego, że skierowano główny ruch emigracyjny Rosjan na południowy wschód. W poprzednim odcinku pisałem, że rosyjskie rezerwy demograficzne są już zużyte, a coraz pilniejsza konieczność umocnienia rosyjskiej obecności w Azji wymaga kierowania tam osiedleńców nawet kosztem bezwzględnego, znacznego zmniejszenia zaludnienia macierzystych obszarów Rosji. W tych warunkach kontynuacja parcia demograficznego Rosjan na zachód staje się niemożliwa, a nawet utrzymanie obecnego stopnia obecności jest coraz trudniejszym problemem. Rozpoczęty już proces na przestrzeni kilkudziesięciu lat ulegnie silnemu przyspieszeniu. Dopływ Rosjan do zachodnich republik nie będzie rekompensował rosnących ubytków, a tempo rusyfikacji gwałtownie spadnie. Mówiąc inaczej, już dziś jest widoczne, że zamiar wchłonięcia przez Rosjan narodów ukraińskiego i białoruskiego stracił szansę realizacji.

Rysujący się odwrót Rosjan stwarza zachodnim republikom nowe i wielkie szansę. Położenie ich nie jest jednak najlepsze. Związek Radziecki jako całość kieruje swą energią na wschód i najdalszy jest od tego, aby wyłączyć z tego działania kresy zachodnie. Ukraina, Białoruś, republiki bałtyckie muszą oddawać rosnącą część swego dochodu narodowego na zagospodarowanie Syberii, a część swego przyrostu naturalnego na jej zasiedlenie. Dwa powyższe czynniki — zmniejszanie się rosyjskiej obecności i

zwiększanie eksploatacji gospodarczej i demograficznej – powodują zaostrzenie i tak silnego konfliktu między narodami zachodnich kresów, a samym imperium. Ani Ukraina, ani żaden inny kraj tej strefy nie ma interesu w zagospodarowywaniu Azji kosztem własnego rozwoju. Umacnia to i tak silne tendencje separatystyczne, a skupienie głównej uwagi rosyjskiej na problemach wschodnich ułatwia ich realizację.

3. Słabość materialna

Pojawienie się historycznej szansy spowodowanej odwrotem Rosjan, zastało narody pięciu zachodnich republik bardzo osłabione (w analizie pomijamy szóstą republikę, Mołdawię, bo to tylko zamieszkała przez Rumunów oderwana część Rumunii, do której kiedyś wróci). Widać to najlepiej po ich rozwoju demograficznym. Narody te mają najniższy w ZSRR przyrost naturalny. W końcu lat siedemdziesiątych wynosił on w promilach: dla Litwy 4,6, dla Ukrainy 3,4, dla Estonii 2,7, dla Łotwy 1,3, a tylko dla Białorusi 6,1. Są to dane w skali całego ZSRR, a nie poszczególnych republik. W tym samym czasie przyrost naturalny Rosjan wyniósł 4,9 promila, a w Polsce przekraczał 9 promili. W ciągu dziesięciolecia 1970–1979 łączny przyrost naturalny Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Łotyszy i Estończyków na terenie całego ZSRR wyniósł ok. 2 mln ludzi, gdy w tym samym czasie przybyło ok. 8 mln Rosjan. Warto podkreślić, że globalny przyrost pięciu narodów uplasował się poniżej polskiego, który w tym samym dziesięcioleciu przekroczył 2,5 mln. Dane te nie obrazują całej skali problemu, bowiem w ostatnich latach nastąpiło dalsze gwałtowne załamanie się przyrostu naturalnego europejskich narodów ZSRR (u Rosjan spadek do 4,2 promila).

Dane powyższe dotyczą całego Związku Radzieckiego. Z punktu widzenia geopolityki ważne są dane tylko dotyczące bezpośrednio pięciu zachodnich republik. Ludzie, którzy z nich przenieśli się na wschód, w swojej masie zapewne nigdy nie powrócą. Otóż obecnie cały ten obszar zamieszkuje osiem rodzimych narodów o następującej liczebności:

- Ukraińcy - 37.000 tys.,
- Białorusini - 8.500 tys.,
- Litwini - 2.500 tys.,
- Łotysze — 1.400 tys.,
- Polacy - 1.000 tys.,
- Estończycy - 900 tys.,
- Żydzi - 500 tys.,
- Tatarzy krymscy — 300 tys.
- Razem: 52.300 tys.

Resztę ludności tej strefy — ok. 10 mln — stanowią słabo zakorzenieni imigranci, głównie Rosjanie. Co do Żydów, grupują się oni w miastach, z głównym ośrodkiem w Kijowie, ale w swojej masie dążą do emigracji do Izraela lub na Zachód. Polacy są rozsiani po wszystkich republikach, ale w zwartej masie zamieszkują obszar pogranicza litewsko-białoruskiego, między Niemnem a Dźwiną. Według oficjalnych danych jest tu ich ponad sześćset tysięcy, a według niektórych szacunków — ok. miliona. Polacy stanowią najliczniejszy grupę mieszkańców Wilna: ok. 35%, gdy Litwinów jest 27%, a Rosjan 24% i Białorusinów 17%. Charakterystyczne, że w stosunku do 1960 r. przyrost Polaków jest względnie największy. Na drugim miejscu plasują się Litwini, a na ostatnim, Ukraińcy. Umacnianie się żywiołu polskiego w znacznym stopniu następuje przez polonizację Białorusinów. Aż

do początku lat siedemdziesiątych systematycznie wzrastała ilość przybyszów z pozostałych republik ZSRR. Trend ten został nie tylko zahamowany, ale w skali całej strefy zaczyna odwracać się, zwłaszcza udział kolonistów rosyjskich zaczyna względnie maleć.

Z danych powyższych wynika, że leżąca bezpośrednio na wschód od Polski strefa staje się w stosunku do nas względnie coraz słabsza. Dysponując nadal większym rodzimym potencjałem demograficznym – 52 mln wobec 37 mln w Polsce – wyraźnie wolniej rozwija się. W ciągu ostatniej dekady łączny przyrost 8 wyliczonych wyżej narodów na obszarze 5 republik wynosił niespełna 200 tys. średnio rocznie, a w tym Ukraińców prawie 150 tys., przy czym pamiętać należy, że część przyrostu naturalnego rodzimej ludności zachodnich republik będzie migrowała na wschód. Dodajmy do tego, że średnia gęstość zaludnienia całej tej strefy, jest o połowę niższa niż w Polsce, przy czym bezwzględne zaludnienie w niektórych obszarach zmniejsza się. Występuje to najsilniej w środkowej Białorusi i zachodniej Ukrainie. Jest to dość radykalna zmiana w porównaniu ze stanem z połowy obecnego wieku, tuż po zakończeniu II wojny światowej. Wówczas rodzima ludność w 5 republikach zachodnich wynosiła ok. 42 mln, a w Polsce 25 mln. Ukraińców na Ukrainie było kilka milionów więcej niż Polaków w Polsce. Obecnie liczebność Polaków i Ukraińców zrównała się, ale relacja ta zmienia się na naszą korzyść. Generalnie rozwój demograficzny prowadzi do zrównania się liczby ludności polskiej z liczbą ludności rodzimej wszystkich pięciu republik. Osłabienie demograficzne strefy buforowej wobec Polski jest wyraźne.

Mniej klarownie rysuje się ono wobec Rosji. Wprawdzie załamanie się przyrostu naturalnego u Rosjan ma ogromne znaczenie, ale

różnica potencjałów demograficznych jest nadal ogromna. 52 mln ludności rodzimej 5 republik wobec 135 mln Rosjan. Gdyby nie fakt, że Rosjanie wszystkie swoje siły muszą kierować na wschód, taka relacja czyniłaby dążenia emancypacyjne zachodnich republik całkowicie nierealnymi. Obok demograficznego, coraz wyraźniej zaznacza się osłabienie ekonomiczne. Wszystkie 5 republik jest wyraźnie niedoinwestowane, nawet jak na standardy radzieckie. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza nakłady inwestycyjne w przeliczeniu na mieszkańca były znacznie niższe, niż średnia dla ZSRR, a także wyraźnie niższe niż w Polsce. Tendencja ta umacnia się wraz ze słabnięciem dynamiki rozwojowej ZSRR i kierowaniem ogromnej większości nakładów do Azji. Białoruś nie tylko jest najbardziej niedoinwestowaną republiką, ale i najbardziej zacofaną gospodarczo. Nie lepsza sytuacja jest na Litwie, ale również Ukraina wyraźnie ustępuje średniej radzieckiej. Udział produkcji przemysłowej 5 republik w globalnej produkcji ZSRR systematycznie maleje, poziom nowoczesności relatywnie spada. Rolnictwo ukraińskie, wyeksploatowane przez ekstensywną gospodarkę, boryka się z olbrzymimi trudnościami. W pozostałych republikach jest w stanie opłakanym, zwłaszcza na Białorusi, gdzie blisko połowa areału kiedyś uprawianego dziś leży odłogiem.

4. Słabość kulturowa

Narody zachodnich republik formowały się w bardzo trudnych warunkach. W toku przeobrażeń rozpoczętych w XIX w. wyrastały one głównie z mas chłopskich, gdy warstwy wyższe oraz inteligencja zachowywały polski charakter, wywodzący się z kultury i tradycji I Rzeczypospolitej. W efekcie tego wytwarzanie własnej, narodowej inteligencji następowało powoli i z wielkimi trudnościami. Trzy narody bałtyckie, dzięki dwudziestolecu

niepodległości w latach 1918-1940 osiągnęły wielkie postępy, ale Ukraińcy i Białorusini pozbawieni byli tej szansy. Rusyfikacja z natury rzeczy rozwijała się wśród środowisk szukających wykształcenia. Wyższe studia, zwłaszcza poza terenem ojczystym, są najczęstszą metodą wynaradawiania. Bardziej błyskotliwa kariera zawodowa również wymaga opuszczenia ziemi urodzenia i często prowadzi do ztratę poczucia odrębności narodowej. Dlatego w pięciu republikach zachodnich procent osób z wyższym wykształceniem nie tylko kształtuje się niżej średniej dla ZSRR, ale w poważnej części nie ma charakteru rodzimego. Biorąc pod uwagę wyłącznie osoby o wyraźnym poczuciu swej przynależności narodowej, Białorusini mają najslabszą warstwę inteligencji, a pozostałe narody zachodnich republik są w sytuacji nie wiele lepszej. Jest to elementem szerszego zjawiska: warstwy przywódcze narodów republik zachodnich są relatywnie o wiele mniej liczne niż u Rosjan, a obecnie nawet niż u narodów zakaukaskich i środkowoazjatyckich.

Szczególne znaczenie ma niedostatek, czy nawet całkowity brak tradycji narodowej. Najlepiej wygląda sytuacja wśród narodów bałtyckich, pamiętających własne suwerenne państwa z pierwszej połowy tego wieku. U Litwinów dochodzi do tego świadomość dziedzictwa Wielkiego Księstwa Litewskiego, choć nie potrafią oni poradzić sobie ze spuścizną Unii Obojga Narodów. Znacznie gorzej wygląda sytuacja na Ukrainie. Poza mało twórczym nawiązywaniem do tradycji Rusi Kijowskiej i skrytą pamięcią niektórych środowisk o tworzeniu niezawisłej republiki w okresie 1918-20, prawie nie ma o co zahaczyć się. W warunkach, gdy oficjalna nauka i propaganda widzi w Rusi Kijowskiej – wbrew faktom – początek historii Rosji, sprawa tradycji państwowej

zacierają się jeszcze bardziej. Co do Białorusi, to tutaj własnej tradycji państwowej nie ma zupełnie.

Mimo wszystkich tych słabości, ruchy narodowe w pięciu zachodnich republikach rozwijają się coraz wyraźniej. Konflikt narodowy z Rosjanami jest czynnikiem nie tylko trwałym, nasilającym się. Najwyraźniej widać to w krajach bałtyckich, przy czym Litwini są najbardziej aktywni. Ruch narodowy na Ukrainie jest jeszcze względnie słaby, ale konsoliduje się wyraźnie. Na Białorusi zjawisko to jest w stanie zaczątkowym. Generalnie, dążenie do emancypacji narodowej przejawiają się głównie w formach biernego oporu, ale za to ogarniają świadomie (jak na Litwie) czy nieświadomie (jak na Białorusi) przeważającą część każdego narodu. Względna słabość materialna i kulturalna narodów zachodnich republik obecnie w zasadzie wyklucza możliwość ich oderwania się od Rosji bez pomocy z zewnątrz.

5. Strefa rozrzedzonego ciśnienia

Przez długi okres czasu strefa leżąca między Polską a Rosją charakteryzowała się podwyższonym ciśnieniem. Była ona przedmiotem przeciwstawnego parcia polskiego i rosyjskiego, przy coraz bardziej dynamicznym rozwoju miejscowych społeczeństw. Jeszcze w pierwszej połowie obecnego wieku strefa buforowa była podzielona politycznie między Polskę i Rosję, a jej narody rozwijały się gwałtownie, przejściowo uzyskując niepodległość. W połowie wieku przytłaczający napór rosyjski przysłonił wszystko.

Od przeszło ćwierć wieku procesy rozwojowe odwracają się najwyraźniej. Konieczność kierowania *gros* energii na wschód spowodowała nie tylko wyraźne zmniejszenie się zainteresowania rosyjskiego tym obszarem, ale też względne osłabienie rosyjskiej

tam obecności. Równocześnie słabość materialna i kulturalna miejscowych społeczeństw oraz spowolnienie ich dynamiki rozwojowej powodują, że wytwarza się wyraźnie strefa rozrzedzonego ciśnienia. W kategoriach geopolitycznych oznacza to radykalną zmianę sytuacji.

Najważniejsze znaczenie ma odwrócenie się kierunku parcia rosyjskiego. Zjawiska obserwowane w strefie buforowej są kolejnym dowodem, że trwający dobre 250 lat okres, w którym dominujące było rosyjskie parcie na zachód, przechodzi do przeszłości. Wyraźne przesunięcie się kierunku ekspansji na wschód, w połączeniu z gwałtownym umacnianiem się czynnika azjatyckiego w ZSRR oraz koniecznością skupienia głównych wysiłków na sprawach wewnętrznych, daje też nową szansę zachodnim sąsiadom Rosji.

Wnioski są raczej oczywiste. Tworzenie się strefy rozrzedzonego ciśnienia między Polską a Rosją oznacza, że w nadchodzących dziesięcioleciach bezpośredni napór rosyjski na Polskę będzie słabszy. Jest poza dyskusją, że Rosjanie będą w pierwszym rzędzie bronić swej obecności nad Dnieprem, niż nad Wisłą. Rozpoczęte już cofanie się Rosjan w strefie buforowej bezpośrednio nas odciążą. Zakładając, że nie dojdzie do jakichś nadzwyczajnych wydarzeń, a trwające już procesy będą mogły przebiegać bez większych zakłóceń, szansa pełnej emancypacji narodów między Polską a Rosją jest bardzo duża. Wprawdzie są one obecnie zbyt słabe, aby samodzielnie wybić się na niepodległość, ale być może odzyskają możliwość szybszego rozwoju. Narastający konflikt rosyjsko-azjatycki o przywództwo w ZSRR, który w nadchodzących dziesięcioleciach zdominuje całkowicie wszystkie inne problemy – ułatwi bardzo wolnościowe działania narodów

zachodnich kresów imperium. Jeżeli uda się im uzyskać wystarczającą pomoc z zewnątrz, prawie na pewno będą w stanie oderwać się od imperium. Już jednak same dążenia tego rodzaju tworzą wyraźną osłonę dla Polski. Patrząc nieco dalej w przyszłość, relacja potencjałów materialnych i kulturowych zmieniająca się systematycznie na korzyść Polski, sugeruje, że nasze wpływy w tej strefie mogą przeżyć swego rodzaju renesans. Być może będzie to częścią szerszej zarysowanego zjawiska integracji całej Europy Środkowej.

III. SPRAWA NIEMIECKA

1. Teza Dmowskiego

W swej głośnej pracy „Niemcy, Rosja a sprawa polska” Roman Dmowski wyeksponował zagrożenie z zachodu. Niemiecki „Drang nach Osten” – marsz na wschód przedstawiony został jako główne zagrożenie dla naszego narodowego bytu. Choć znajdująca życzliwe przyjęcie wśród większej części wykształconych Polaków, teza ta przed siedemdziesięciu laty była czymś niesłychanie nowym.

Bezpośrednie doświadczenia ówczesnej generacji, a więc doświadczenia XIX w., mówiły o czymś najzupełniej przeciwnym. To Rosja zalewała krwią polskie powstania i eksterminowała polskość, najpierw na wschód, a potem i na zachód od Niemna i Bugu. Prusy (a nie Niemcy) rozpoczęły swą antypolską politykę dopiero w erze Bismarcka (choć wcześniej pojawiły się jej elementy), a na dobre nasiliła się ona, ze znacznymi przerwami, na przełomie wieku. Polakożercza Hakata powstała piętnaście lat przed napisaniem książki Dmowskiego. Społeczne poczucie zagrożenia niemieckiego dopiero się rodziło, a przywódca narodowej demokracji wywarł zdecydowany wpływ na jego kształt.

Nurt niepodległościowy zakwestionował tezę Dmowskiego w oparciu o doświadczenie historyczne, aż od Iwana Groźnego począwszy. Piłsudski główne zagrożenie zawsze, aż do śmierci, widział w Rosji.

Tymczasem wydarzenia dwudziestowieczne zdawały się przyznawać rację Dmowskiemu. Pierwsza wojna światowa była przekonującym dowodem niemieckiego parcia na wschód – i to tak daleko, jak nigdy wcześniej żołnierz niemiecki nie dotarł. Co

więcej, pod tym uderzeniem załamało się imperium carskie. Co do Polski – miała stać się niemieckim satelitą. Niemcy wojnę jednak przegrały, ale Rzeczpospolita odradzała się w walce z nimi: rozbrajanie Wehrmachtu przez POW, powstania wielkopolskie i śląskie. Przez cały okres międzywojenny, szczególnie ostro przed 1934 r., Polska była obiektem rewizjonistycznych działań ze strony Niemiec – przechodzących często w antypolską histerię. Potem przyszedł rok 1939 i II wojna światowa, a naród polski znalazł się na krawędzi biologicznej zagłady. Wreszcie przez całe dziesięciolecie po drugiej wojnie światowej wpływowe siły niemieckie – nie tylko w RFN – kwestionowały granicę na Odrze i Nysie. Są to fakty niewątpliwe. Czy jednak rzeczywiście potwierdzają tezę Dmowskiego?

2. Szersze spojrzenie

Czy pierwsza wojna światowa była rzeczywiście wyrazem niemieckiego „Drang nach Osten”? Trudno taki pogląd traktować poważnie. Rzesza wilhelmińska była państwem imperialistycznym, ale kierunki jej ekspansji prowadziły akurat nie na wschód – przynajmniej nie na wschód rosyjski. Niemcy wahały się między parciem na Bliski Wschód (przez Bałkany, Sтамбуł ku Zatoce Perskiej) a ekspansją oceaniczną: w Afryce i Oceanii. Ponadto chciały skutecznie zlikwidować mocarstwowo-europejskie ambicje Francji. Interesy niemieckie i rosyjskie krzyżowały się tylko na Bałkanach. Natomiast powstrzymany na Dalekim Wschodzie carat postanowił wznowić swą wielką ekspansję zachodnią, która w XVIII w., podczas wojny siedmioletniej, doprowadziła go do Berlina, a z początkiem XIX w. nawet do Paryża. Przez cały wiek dziewiętnasty ta ekspansja wschodnia była skutecznie zablokowana przez Polaków. Rosja nie

była w stanie jej wznowić przed strawieniem zdobyczy na Rzeczpospolitej. W początkach XX w. wydawało się jednak, że kwestia polska, przynajmniej w obrębie państwa carów, pozostała rozwiązana. Nawet rewolucja rosyjska z lat 1905-07, choć objęła ziemie polskie, nie była wystarczającym impulsem, aby przerodzić się w powstanie narodowe. Carat uwierzył, że może ruszyć na zachód. To nie Niemcy wchodziły do I wojny światowej, aby maszerować na wschód i zniszczyć Rosję. To Rosja tak ochoczo weszła do wojny, aby przez Wiedeń i Berlin otworzyć sobie drogę do dominacji nad Europą. Dla Rzeszy cała ta wojna sprowadzała się do pokonania Francji. Wszystkie akcje na wschodnim froncie miały na celu pokonanie francuskiego sprzymierzeńca, aby uzyskać możliwość rozstrzygnięcia na zachodzie. Niemcy zdecydowały się nawet na utworzenie państwa polskiego, bo miał to być bufor osłaniający je od wschodu, a nie baza wypadowa.

W okresie międzywojennym wrogość niemiecka do Polski wynikała głównie z poczucia krzywdy, spowodowanej utratą ziem, które od co najmniej stu lat należały do Prus. Było to poczucie niesłuszne, zgoda, ale bardzo silne. Znow więc nie był to wyraz parcia na wschód, lecz dążenie do odzyskania tego co Niemcy niesłusznie, ale szczerze uważali za swoje.

Druga wojna światowa miała na celu dominację nad całą Europą, a nie parcie na wschód. Głównego przeciwnika widziano w mocarstwach zachodnich. Z naszego punktu widzenia upadek Rzeczypospolitej w 1939 r. spowodowany był tyleż niemieckim parciem na wschód, co radzieckim na zachód. Decyzja rozpętania wojny obciąża zarówno Hitlera jak Stalina, a Polskę pokonały wspólnym wysiłkiem: Wehrmacht i Czerwona Armia. Bez politycznej pomocy Kremla, Niemcy nie mogły rozpocząć wojny.

Bez pomocy militarnej, a następnie zaopatrzeniowej, nie pokonałyby Polski i Francji. Natomiast Związek Radziecki – mimo przejściowej, krytycznej sytuacji spowodowanej błędem Stalina 1941 r. – konsekwentnie parł na zachód. Uzyskując w pierwszym etapie (1939-1940) utracone dwadzieścia lat wcześniej ziemie imperium carskiego (z wyjątkiem b. Kongresówki). W drugim etapie (1944-1945) ZSRR zrealizował prawie wszystkie (poza Konstantynopolem) cele caratu z początków wieku. Wraz ze zdobyciem Wiednia i Berlina, Rosja stała się mocarstwem dominującym nad całą Europą. Gdyby nie potęga USA, to zdominowałaby świat. Nie zapominając o straszliwych stratach spowodowanych niemieckim najazdem i okupacją, trzeba zdawać sobie sprawę, że ten śmiertelny cyklon, który przetoczył się nad Polską w latach 1939-1945, szedł ze wschodu na zachód.

Wreszcie okres powojenny. Z jednej strony usprawiedliwiona wrogość i obawy Polaków do Niemców, a z drugiej strony podobne jak w okresie międzywojennym poczucie krzywdy, tym razem wywołane utratą i koniecznością opuszczenia ziem, które od paruset lat znajdowały się w granicach Niemiec.

Tu dygresja: zimą 1918/19 komisja działająca przy „białym” rządzie admirała Kołczaka, opracowując postulaty rosyjskie na zbliżającą się konferencję pokojową w Wersalu, postanowiła domagać się przesunięcia zachodniej granicy polskiej jak najbardziej na zachód. Cel był prosty: Niemcy tego nie zaakceptują, co wywoła trwały konflikt niemiecko-polski, a w konsekwencji zmusi Polaków do oparcia się o Rosję. Nie była to koncepcja nowa: źródeł jej szukać można jeszcze w XVIII w. i okresie Kongresu Wiedeńskiego. Dokładnie według wskazań

komisji Kołczakowskiej postąpił Józef Stalin w Poczdamie, decydująco wpływając na przyjęcie granicy Odry-Nysy.

Niezależnie od konstatacji, że wrogość niemiecko-polska była bardzo na rękę Moskwie, głębsza analiza faktów zaprzecza tezie Dmowskiego o rzekomo nieusuwalnym i dominującym nad wszystkim parciu niemieckim na wschód. Historia dwudziestego wieku jest dowodem dla przeciwnej tezy i parcia rosyjskiego (a parcia niemieckiego) na zachód.

3. Parcie demograficzne

Dmowski mówił jednak nie tylko o politycznym i państwowym parciu Niemiec na Wschód. O wiele większe znaczenie nadawał on parciu demograficznemu, eksponując śmiertelny konflikt narodowy między niemczyzną a polskością. Zasadniczym dowodem była polityka niemiecka w zaborze pruskim: germanizacja, wywłaszczanie, Komisja Osiedleńcza masowo sprowadzająca Niemców. A na tym tle dramatyczne wydarzenia: sprawa dzieci we Wrześni, wóz Drzymały. Wszystko to było prawdą. Zaciekła wrogość Niemców wobec Polaków, zwłaszcza na terenie zaboru pruskiego, jest faktem dobrze znanym i udokumentowanym. Czy jednak stanowi dowód parcia demograficznego Niemiec na wschód?

Głębsza analiza ujawnia zupełnie inne wnioski. Po pierwsze, na wschodnich obszarach państwa pruskiego, w okresie o którym mowa, a więc od połowy XIX w. do 1914 r., mamy do czynienia przede wszystkim z tzw. *Ostflucht*, tj. masowym odpływem Niemców, przenoszeniem się ich na zachód. Był to proces, który objął miliony ludzi. Równocześnie następował wyraźny proces umacniania się polskości. Widoczne jest to w Poznańskim i na

Pomorzu, ale zupełnym zaskoczeniem dla Niemców stało się odrodzenie polskości na Górnym Śląsku, Warmii i Mazurach. Tuż przed wybuchem I wojny światowej udział Polaków w populacji wschodnich prowincji Rzeszy był nie tylko wyższy, niż w połowie XIX w., ale ogromnie wzrosła ich świadomość narodowa. Działania niemieckie miały na celu przede wszystkim powstrzymanie niekorzystnego z punktu widzenia Berlina zjawiska *Ostflucht* (częściowo przez zastępowanie odpływających na zachód nowymi osadnikami) oraz zahamowanie umacniania się odrębności narodowej Polaków. Były to działania raczej obronne niż ofensywne. Mimo wielkich wysiłków, żadnego z tych celów nie udało się Niemcom osiągnąć. Chociaż pozbawieni zarówno własnej państwowości, jak też jakiegokolwiek wsparcia ze strony dwu pozostałych zaborców (poza słowami otuchy), opierając się tylko o własne siły – Polacy z zaboru pruskiego potrafili odeprzeć niemieckie parcie. Świadczy to i o tym, że nie było to parcie – jak na możliwości Rzeszy – najsilniejsze. Na pewno słabsze niż odpowiednie działania niemieckie w Alzacji i Lotaryngii.

Druga sprawa. Chodzi nie tylko o rozwój sytuacji demograficznej, narodowej w obszernym pasie pogranicza polsko-niemieckiego, ale o generalną rewizję między obu populacjami. Następowaly tutaj i nadal następują zmiany wielce charakterystyczne. Jeżeli przedmiotem analizy uczynimy obszar w przybliżeniu obejmujący obecne terytorium PRL i NRD wraz z Berlinem Zachodnim i zbadamy jaką część wspólnej populacji obejmującej wyłącznie Niemców i Polaków stanowił każdy z tych narodów, wnioski są zadziwiające. Otóż jeszcze pod koniec pierwszej połowy XIX wieku ok. 68% stanowili Niemcy, a tylko 32% Polacy (dla jasności wywodu pomijamy inne narody). W drugiej połowie stulecia udział Niemców zaczął coraz szybciej maleć, a przed I wojną

światową spadł poniżej 60% , gdy Polaków wzrósł odpowiednio do ponad 40%. W okresie międzywojennym proces ten uległ dalszemu przyspieszeniu. W 1939 r. na wskazanym obszarze Niemcy stanowili 52% wspólnej populacji, a Polacy 48%. W 1950 r., a więc po zmianach demograficznych wywołanych przebiegiem i skutkami II wojny światowej (6 mln ofiar polskich i przesiedlenia ludności niemieckiej za Odrę-Nysę), relacja ludnościowa odwróciła się. Polacy stanowili 52%, Niemcy 48%. Proces ten nie został jednak zatrzymany: udział ludności niemieckiej nadal spadał i obecnie wynosi 34%, gdy polskiej wzrósł do 66%. Przy czym odpływ Niemców na zachód jest sztucznie bardzo silnie ograniczony przez władze NRD. Gdyby granica wewnątrzniemiecka była bardziej przepuszczalna, udział Niemców we wspólnej populacji tego obszaru spadłby zapewne poniżej 30%. Jest to zjawisko kapitalnego znaczenia. Zważywszy, że obecna granica między NRD a RFN to stare historyczne *Limes Sorabicus*, tj. linia rozdzielająca obszary słowiańskie i germańskie we wczesnym średniowieczu – mamy do czynienia z wyraźnym odpływem niemczyzny z terenów skolonizowanych na przestrzeni więcej niż tysiąca lat, ale naprawdę intensywnie kolonizowanych w pierwszej połowie tego okresu. Przez to tysiąclecie parcie niemieckie wznawiane było falami, ale gdy zatrzymywało się, nie dochodziło do większego odpływu na zachód. Niezależnie od decyzji politycznych, takich jak w Poczdamie o wysiedleniu Niemców, czy też decyzji niemieckich z okresu II i III Rzeszy o umacnianiu niemczyzny, rozwijał się wielki proces demograficzny, który zasadniczo, zmienił stosunki narodowościowe na ogromnym obszarze. Decyzje polityczne jedynie trochę przyspieszyły lub opóźniły to, co i tak następowało. Zwróćmy uwagę, że przesiedlenie Niemców w znacznie zmniejszonym stopniu

zmieniło relację między Polakami i Niemcami (o 4 punkty procentowe z 48% do 52%), niż zmiany demograficzne w okresie powojennym 1950-1984 (o 14 punktów procentowych z 52% do 66%). Zjednoczenie Niemiec nie powstrzyma tego procesu, a raczej go jeszcze bardziej przyspieszy. Zresztą, gdyby nawet proces odpływu Niemców na zachód został zatrzymany, to długo potrwa, nim zostanie odwrócony.

Zbadajmy, co byłoby konieczne, aby jeszcze w bieżącym roku przywrócić na obszarze obecnych NRD i PRL relację demograficzną Polacy-Niemcy z połowy stulecia (52:48). Jest to łatwe do wyliczenia: populacja niemiecka musiałaby zwiększyć się o 23 miliony, tj. tylu Niemców musiałoby przesiedlić się z RFN na wschód. Przyjmując, że 10 mln Polaków przeniesie się na wschód od Bugu (tj. poza obszarem obecnych NRD i PRL), nadal 13 mln Niemców musiałoby się przenieść na naszą stronę *Limes Sorabicus*. Nie jest to możliwe ani do roku 2000, ani nawet 2050. W całym tym okresie najpewniej trwać będzie nadal ten sam proces: odchodzenia Niemców na zachód. Powoli i dzięki procesom najzupełniej naturalnym następuje powrót do sytuacji sprzed tysiąca lat. Linia Odry-Nysy już dzisiaj nie jest granicą broniącą nas od ekspansji z zachodu, ale granicą zamykającą nasze, parcie demograficzne na zachód.

4. Nowy układ geopolityczny

Pomijam takie czynniki, jak wrastanie Niemiec we wspólną strukturę zachodniej Europy, czy zmiany mentalnościowo-kulturowe nad Renem i Menem. Są one dziś ważne, ale być może nie tak trwale, jak byśmy tego chcieli. I bez nich sytuacja jest całkowicie jasna. W ciągu obecnego stulecia niemiecka ekspansja wschodnia załamała się całkowicie. Politycznym wyrazem tego

była klęska Niemiec w obu wojnach światowych. Właściwą skalę tego zdarzenia widać dopiero na tle zmian demograficzno-przestrzennych. Odwrót Niemiec na zachód, choć jeszcze nie zakończony, stał się faktem dominującym nad innymi procesami, przebiegającymi w tej części Europy. Wyłonił się z tego zupełnie inny układ geopolityczny, diametralnie przeciwny układowi opisanemu przez Dmowskiego w początkach stulecia. Zanikło całkowicie parcie demograficzne z zachodu. Odwrotnie, na zachód od Odry powstała demograficzna strefa obniżonego ciśnienia. Nie jest to jeszcze pustka, ale może być taką.

W tym miejscu należy rozważyć geopolityczne (ale nie polityczne) konsekwencje ewentualnego połączenia się obu państw niemieckich. Nowe państwo bez wątpienia wysunęłoby się na pierwsze miejsce w Europie tak pod względem ilości mieszkańców, jak siły gospodarczej. Byłby to potencjał przewyższający polski, ale także francuski czy brytyjski. Rozumując w kategoriach geopolitycznych, bierzemy jednak pod uwagę nie tylko potencjał i jego umieszczenie w przestrzeni, lecz również zasadniczy kierunek zaangażowania. NRD — podobnie jak historyczne państwo pruskie — zorientowane jest na wschód. Nadrenia, Bawaria, zawsze zorientowane były na zachód, ewentualnie na południe. To właśnie w XIX w. Prusy, najbardziej wówczas dynamiczne, usiłowały narzucić całej Rzeszy orientację wschodnią. Dziś zjednoczenie Niemiec odbiera ich wschodniej, najmniej dynamicznej części, orientację wschodnią. Całość będzie patrzyła na zachód. Tym bardziej, gdy wznowiona zostanie *Ostflucht*, dziś hamowana sztucznie granicą wewnątrzniemiecką.

Wniosek płynie z tego prosty. Zjednoczone Niemcy stanowią będą ewentualne zagrożenie dla ich zachodnich sąsiadów, a nie

wschodnich. Dlatego takie stanowcze działania Francji, która w okresie bezpośrednio powojennym zablokowała możliwość utworzenia jednego państwa niemieckiego, stąd obawy brytyjskie, nieraz dokładnie formułowane.

Warto podkreślić jeszcze pewien czynnik szczególny. Pierwszym następstwem zjednoczenia Niemiec będzie poważny kryzys wewnętrzny oraz względnie długi okres wzajemnego zaadaptowania się obu krajów. Zajmie to okres przynajmniej jednego pokolenia. Tak więc choćby nawet nie działały inne, ważniejsze czynniki – w tym czasie zjednoczone Niemcy nie będą w stanie wznowić ekspansji w jakimkolwiek kierunku.

Rozpatrując zagadnienie w kontekście geopolitycznego położenia Polski, na plan pierwszy wysuwa się wyraźna likwidacja bezpośredniego zagrożenia z zachodu. Było to zagrożenie, które ujmując rzecz historycznie, doprowadziło w średniowieczu do odepchnięcia Polski od Odry, zaś wznowione w drugiej połowie XVIII w., przez dwieście lat – od I rozbioru po II wojnę światową – zużywało część sił obronnych Polski, umożliwiając tym samym Rosji opanowanie i utrzymanie w ryzach Rzeczypospolitej. Było to więc zagrożenie zarówno bezpośrednie, jak pośrednie. Dziś zanikło prawie całkowicie. Jeśli piszę „prawie”, to dlatego, że NRD, a ściślej jego obszar, miejsce stacjonowania poważnych sił radzieckich, jest jakby reliktem dawnej militarnej obecności Prus. Zjednoczenie Niemiec usunie i ten relik, a więc pod tym względem, rozumując w kategoriach geopolitycznych (a nie, powtarzam, politycznych) będzie dla nas korzystne.

Zanik zagrożenia niemieckiego, jak to i przedtem bywało w historii, stawia nas w bardzo dogodnej sytuacji. Może ona być porównywana zwłaszcza z okresem schyłku panowania

Jagiellonów, nazwanego przez naszą historiografię „złotym wiekiem”. Bezpośrednia zmiana układu geopolitycznego środkowej Europy, spowodowana głównie opisanymi przeobrażeniami niemieckimi, nie likwiduje jednak parcia z zachodu. Jest ono jednak inne w swym charakterze i źródłach. O tym następnym razem.

Międzymorze

Jest to jeden z rozdziałów tekstu programowego „U progu niepodległości. Rewolucji bez rewolucji ciąg dalszy”. Napisany z początkiem jesieni 1990 r., jeszcze przed ogłoszeniem wyborów prezydenckich, ale stanowiący podstawę programu wyborczego Leszka Moczulskiego w prezydenckiej kampanii wyborczej oraz programu KPN w wyborach 1991 r. Pełen tekst na stronie: www.earchiwumkpn.pl

1. Nowa geopolityka

W tym wielkim zamieszaniu, jakie w końcu lat 80. ogarnęło wschodnią część Europy, rysują się coraz wyraźniej pewne punkty porządkujące. Wali się porządek ustanowiony po drugiej wojnie światowej przez Moskwę, ale wali się też porządek wprowadzony w imperium rosyjskim przez rewolucję. Zmiany nie zamykają się jednak w granicach obozu. Jego rozpad promieniuje na zewnątrz: usuwa jedno z głównych spoiw politycznych jednoczącej się Europy zachodniej, czyni zbędną militarną obecność USA po tej stronie Atlantyku, powołuje do nowych ról zjednoczone Niemcy. To w Europie. Zaś w Azji wielkiemu wyzwaniu politycznemu musi nagle sprostać kolos gospodarczy – Japonia, zaś rysujące się na horyzoncie rozwiązanie problemu chińskiego może uwolnić tego samospętanego olbrzyma; dodajmy do tego nową perspektywę dla krajów islamskich. Konflikt Wschód-Zachód, który przez blisko pół wieku zdominował stosunki globalne, zanika. Wchodzimy w nowy świat.

Co pozostanie? Jakie elementy odchodzącego w przeszłość układu przetrwają jego katastrofę? Odpowiedź musi padać w dwu

kategoriach: geopolitycznej, rozpatrującej zmienne układy polityczne na niezmiennym przestrzeni, oraz cywilizacyjnej.

Postarajmy się określić te stałe punkty, przykryte wzburzonymi odmętami przemian – tak jak je widać od nas, z Polski, a może raczej ze środka Europy. Ściślej mówiąc – z Międzymorza, a więc tej wyodrębnionej geograficznie i historycznie części Europy, jaka rozciąga się między morzami Bałtyckim, Czarnym i Adriatykiem, od zachodu sąsiadując z Niemcami, a od wschodu z Rosją etniczną.

Co więc pozostanie? – Pozostanie Rosja. Tę konstatację musi sobie ciągle powtarzać każda odpowiedzialna polityka polska: pozostanie Rosja. Jeśli ZSRR rozpadnie się całkowicie i wszystkie zdolne do tego narody utworzą własne państwa, Rosja nadal obejmować będzie obszar co najmniej 17 mln km², zamieszkałych przez więcej niż 150 mln ludzi, o rocznym dochodzie narodowym w wysokości nie mniej niż 400 mld USD. To ogromne państwo, rozpościerające się od Zatoki Fińskiej po Czukotkę, wraz ze zrzuceniem starego systemu, uzyska zupełnie nowe możliwości gospodarcze, szybko przekraczając ten udział w handlu światowym, jaki ma dzisiaj cały ZSRR. Trzeba tylko czasu, aby wszystko zagrało. Wówczas nowa dynamika rozwoju w połączeniu ze świadomością strat, jakie poniesiono w dobie rozpadu imperium, zapewne spowoduje nie tylko odradzenie poczucia siły, ale również chęć rewanżu i odebrania tego, co stracono. Może to przypominać zjawiska, występujące w Niemczech w latach trzydziestych naszego wieku. Tyle tylko, że w zupełnie innym układzie geopolitycznym. Nowa Rosja nie będzie rywalem politycznym ani dla Ameryki Północnej, ani dla Europy Zachodniej; będzie tam raczej znajdowała partnerów, niż

przeciwników. Nie uniknie zaangażowania w sprawy azjatyckie, lecz wykorzystując rywalizację Trzech, a może Czterech Wielkich (Japonia, Chiny, Indie oraz zapewne blok narodów islamskich), może sobie zapewnić wystarczające bezpieczeństwo. Rozumując w wąskich kategoriach geopolitycznych, można wyprowadzić tylko jeden wniosek: Rosja będzie zablokowana w Azji, otwartym kierunkiem pozostanie zachód.

Po drugiej naszej stronie pozostanie zintegrowana Europa Zachodnia, ale stanowić już będzie inną wartość geopolityczną. Przede wszystkim straci swe ostrze obronne wymierzone na wschód. Umocni się natomiast gospodarczo, ale także polityczna rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi i Japonią. Położenie geopolityczne Wspólnoty Zachodnio-Europejskiej zdominowane jednak zostanie przez konflikt Północ-Południe. Może on przybierać bardzo różne kształty: na pewno ekonomiczne, na pewno ekspansji demograficznej z krajów nierozwiniętych, ale nieuniknione będą również starcia militarne. Zmieni się też sytuacja wewnętrzna Wspólnoty; niektóre z jej głównych członków, od Wielkiej Brytanii poczynając, będą mniej zainteresowane w całkowitej unii politycznej. Jako całość, Europa Zachodnia nie będzie zainteresowana w ekspansji terytorialno-politycznej, lecz jej potrzeby gospodarcze, a także polityczne niektórych krajów, wywoływać mogą konieczność utrzymywania pod kontrolą obszarów uzupełniających.

Na sytuację wewnętrzną Europy Zachodniej wpływać będzie decydująco zmiana relacji między poszczególnymi partnerami. Wywołane to zostanie przez zjednoczenie Niemiec. Już dzisiaj Bundesrepublik jest nieco ludniejsza niż pozostałe trzy główne kraje Wspólnoty: od Francji o 7%, od Wielkiej Brytanii o 4%, od

Włoch o 3%. W warunkach unii politycznej, gdy poszczególne kraje wysyłają do wspólnego parlamentu deputowanych w liczbie proporcjonalnej do ich zaludnienia, reprezentacje tych czterech państw są mniej więcej równe. Po zjednoczeniu Niemcy będą jednak mieć o 35% więcej ludności niż Włochy, o 37% więcej niż Wielka Brytania i o 40% niż Francja; może to dać im polityczny prymat we władzach Wspólnoty. Jeszcze większe znaczenie będzie miało umocnienie niemieckiej pozycji w gospodarce Europy Zachodniej. Stworzy to stan nierównowagi, który albo doprowadzi do przejścia kierownictwa nad EWG przez Niemcy, albo – co jest prawdopodobniejsze, do stworzenia bloku przeciwniemieckiego, aby do tego nie dopuścić. W obu wypadkach powodować to będzie konflikty i opóźnić rzeczywiste ukształtowanie się spójnej Unii Europy Zachodniej.

Niemcy, zjednoczone i bogate, staną się nowym czynnikiem w całej Europie. Dziś chcą być trwałym składnikiem Europy Zachodniej, ale kłopoty spowodowane ich czołową pozycją w tym układzie mogą je skłonić do szukania innych koncepcji. Narzuca się rozwiązanie szersze – ogólnoeuropejskie. Jeśli w zachodniej części kontynentu Niemcy napotykać na blok rywalizujących z nimi krajów - mogą chcieć go zrównoważyć, wprowadzając do Wspólnoty kraje wschodnioeuropejskie, łatwe do uzależnienia politycznego i gospodarczego. Powstały twór składałby się z dwu zupełnie odmiennych części: bogatej zachodniej i ubogiej wschodniej, z tego względu jakoś z sobą skonfliktowanych; pozwoliłoby to Niemcom na utrzymanie dominującej pozycji. Zwłaszcza, że ponad głowami innych Europejczyków mogliby szukać sojuszników dalej na zachodzie – w USA, i dalej na wschodzie – w Moskwie.

Przewaga Niemiec będzie jednak czasowa. Ujemny przyrost naturalny już w pierwszych dziesięcioleciach XXI w. sprowadzi ten kraj do ludnościowego poziomu innych głównych krajów zachodnioeuropejskich, a nawet do osiąganego w tym czasie przez Polskę lub Ukrainę. Także ranga gospodarcza Niemiec ulegnie względniemu osłabieniu. Doprowadzi to do wyraźnego spadku znaczenia Niemiec, ale może też wywołać dążność do stanowczej obrony uzyskanych pozycji.

Samo zjednoczenie przeobrazi wewnętrznie Niemcy. Perturbacje, spowodowane różnym poziomem gospodarki i standardem życia, mogą potrwać kilka lat, ale siłą rzeczy wszystko się wyrówna. Dość trwałe mogą okazać się natomiast zmiany świadomościowe. W społeczeństwo zachodnioniemieckie, ukształtowane demokratycznie i europejsko, wejdzie liczna społeczność wschodnioniemiecka – piąta część całości, wychowana w duchu totalitarnym i militarystycznym, o żywych jeszcze tradycjach pruskich, względnie uboga i czująca się pokrzywdzoną. Może to zasadniczo – i ujemnie – oddziaływać na życie polityczne Niemiec. Dodatkowym elementem będzie, że po kilku latach przerwy, spowodowanej naporem wschodnioniemieckiej siły roboczej na zachodnioniemieckie miejsca pracy, gdy mocniej zarysuje się regres demograficzny – wznowiony zostanie napływ gastarbeiterów z krajów położonych na wschód i południowy-wschód od Niemiec – od Bałtów po Turków.

Zmiany demograficzne w Niemczech, spadek liczebności Niemców i względna starość tej populacji, duży napływ przybyszów, dla których obce będą całkowicie dawne mocarstwowe tradycje niemieckie – wszystko to spowoduje, że mało prawdopodobna będzie ekspansja polityczno terytorialna Niemiec na wschód w

swym znanym z przeszłości kształcie. Podobna ekspansja Zachodniej Europy, rozumianej jako całość, będzie jeszcze mniej prawdopodobna.

W grę wchodzić może natomiast dążenie do takich związków z całością czy częścią naszej strefy, które umocnią w świecie pozycję polityczną Wspólnoty Zachodnio Europejskiej, lub ewentualnie pozycję niektórych państw zachodnioeuropejskich we Wspólnocie. Niemcy mogą szukać przeciwwagi dla swych sąsiadów zachodnich, Francja może myśleć o odtworzeniu układów powersalskich, Włochy mogą wrócić do idei skupiania wokół siebie strefy południowej, a w jej ramach krajów bałkańskich i dunajskich. Wpływało to będzie na kształt Wspólnoty Zachodnio Europejskiej i oddziaływało istotnie na Międzymorze.

Występować będzie na pewno tendencja do ekspansji gospodarczej na wschód. Niezależnie od polityki rządów, gospodarka zachodnioeuropejska, zwłaszcza krajów najbardziej uprzemysłowionych, szukała będzie w pobliżu stref uzupełniających, stanowiących rezerwuar rezerwowej, taniej siły roboczej, w których można będzie umieszczać uciążliwe przemysły. Spowoduje to stałe dążenie do uzyskiwania mocnych pozycji gospodarczych, ale także politycznych w krajach środkowej i wschodniej Europy.

2. Determinanty cywilizacyjne

O wiele bardziej trwałe, niż układy geopolityczne, są czynniki cywilizacyjne. Kulturowa granica Europy wcale nie leży na Uralu; Zachód, przynajmniej w sensie cywilizacyjnym, sięga tak daleko, jak wilgotne wiatry znad Atlantyku. W kategoriach geopolitycznych Rosja nie jest Europą, podobnie jak Stany

Zjednoczone czy Australia; ale Rosja nie jest Europą również w kategoriach cywilizacyjnych. Było tak zawsze – i zawsze było to odczuwane, choć wraz ze wzrostem rosyjskiej potęgi chętnie – z przyczyn politycznych – o tym zapomniano.

Słabo zarysowany fizycznie wododział Dniepru i Wołgi oddziela dwie zupełnie inne strefy; w pobliżu tej bariery przez większą część pisanej historii przebiegała granica polityczna; od kilkudziesięciu lat jest to tylko granica między republikami radzieckimi, ale przebiega ona niemal dokładnie tak, jak wschodnia granica Rusi Kijowskiej w początkach tego państwa (przed kolonizacją międzyrzecza Oki i górnej Wołgi), albo tak, jak wschodnia granica Rzeczypospolitej w wiekach XV-XVII na odcinku południowym, a jeszcze w wieku XVIII na odcinku północnym.

Tym granicom, tak wyraziście utrwalonym przez historię, odpowiada granica cywilizacyjna. Rzecz jasna, nigdy nie może być ona równie ostra, jak granica administracyjna. Zawsze mamy do czynienia z szerokim pasem przenikania się cywilizacji. Lecz w danym miejscu któraś dominuje.

Cywilizacja rosyjska związana jest z Azją nie tylko dlatego, że większa część objętego nią obszaru znajduje się na wschód od Uralu. Wyrosła pod tchnieniem środkowoazjatyckich stepów, z tych wartości, które się tam narodziły, albo które za ich pośrednictwem zostały przeniesione jeszcze bardziej ze wschodu, zwłaszcza z Chin. Ruś Kijowska, cywilizowana z Bizancjum, a więc już pod wpływem wschodu, zaniósła w dorzecze Wołgi wiarę chrześcijańską i język, dokonując powierzchownego zesłowiańszczenia miejscowych ludów grupy altajskiej; Mongołowie, którzy od połowy XIII w. podporządkowali sobie te

obszary, pozostawili cienki słowiański nalot, lecz głęboko wpoili system wyobrażeń, zachowań i instytucji, wykształcony w Złotej Ordzie z pierwiastków rodzimych lub zapożyczonych, zwłaszcza ze zdobytych przez Mongołów Chin. Później, gdy państwo moskiewskie rozprzestrzeniło się na wschód, zajmując nie tylko tereny b. Złotej Ordy, ale ziemie aż po Pacyfik, migrujący tam Rosjanie wchłaniali cywilizacyjne pozostałości imperium mongolskiego, a rusyfikowana miejscowa ludność zmieniała język, lecz nie system wartości.

W tej mieszance dominowały zawsze czynniki środkowoazjatyckie. Nie należy ich wartościować, bo nie muszą być gorsze niż zachodnie. Są po prostu inne. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę. Inność ta powoduje, że wszystkie dotychczasowe próby przejęcia przez Rosję kulturowych wartości zachodu nie powiodły się, bo zawsze w powstającej mieszance cywilizacyjnej zwyciężały pierwiastki wschodnie. Dowodzą tego zarówno reformy Piotra, jak próba realizacji marksistowskiej utopii. Dlatego najprostszy realizm polityczny wymaga założenia, że kolejna próba przeszczepienia z Zachodu wartości – takich jak wolność, lub instytucji – takich jak demokracja, próba która się obecnie tak dynamicznie rozpoczyna, może dać w efekcie coś zupełnie innego, niż to sobie w zachodniej Europie potrafimy wyobrazić. Jeśli nawet próba taka się powiedzie, wymaga czasu – i to dłuższego, niż okres jednego pokolenia. Przeobrażenia cywilizacyjne, również w naszym wieku elektronicznych środków przekazu, następują powoli.

Granica cywilizacyjna, która przebiega na wschód od nas, jest nie tylko zjawiskiem trwałym, lecz najprawdopodobniej w najbliższych dziesięcioleciach ulegnie wyraźnemu umocnieniu.

Cywilizacja rosyjska, wraz z uzyskaniem potęgi politycznej promieniując najpierw na dorzecze Dniepru i Dźwiny, a później aż po Łabę i Adriatyk, zderzała się na tym obszarze ze znacznie silniejszą cywilizacją zachodnią; tworzyło to szeroką strefę przenikania się kultur. Gdy nowe granice polityczne osłonią od wschodu kraje bałtyckie, Białoruś i Ukrainę, nalot moskiewski będzie szybko niknął, a pierwiastki śródziemnomorskie, zarówno w ich greckim, jak łacińskim wydaniu istotnie się umocnią. Może to nawet spowodować, że obecne dość łagodne przejście cywilizacyjne zostanie zastąpione gwałtownym uskokiem.

Konsekwencje tego są bardzo poważne. Nadal musimy być przygotowani, że wzajemne zrozumienie będzie bardzo trudne, a systemy wartości nie dadzą się do siebie łatwo dopasować. To, że intelektualiści polscy znajdują dzisiaj łatwy język z intelektualistami rosyjskimi ma nie większe znaczenie, niż półtora wieku temu rozumienie Polaków przez Hercena lub rozumienie Turgieniewa przez Polaków. Ten brak wzajemnego rozumienia się może być brzemiennej obustronną niechęcią lub pogardą; grozi, że zaostrzy ogromnie spory i konflikty, wywoływane zarówno względami geopolitycznymi i sprzecznością rzeczywistych interesów, jak również inną oceną przeszłości i teraźniejszości. Starcie cywilizacyjne nie jest nieuniknione i nie musi nastąpić, ale różnice cywilizacyjne nie dadzą się ominąć.

Inny charakter mają różnice cywilizacyjne między narodami Międzymorza a Europy Zachodniej. Nie są one ani tak stare, ani tak wielkie, lecz nie wolno ich lekceważyć. Poważny wpływ na ich obecny stan mają różne doświadczenia historyczne ubiegłego i obecnego stulecia. W wieku XIX, gdy w Europie Zachodniej kształtowały się państwa narodowe – to znaczy państwa w których

system dynastyczny zastąpiony został przez zasadę zwierzchnictwa narodu (rozumianego jako ogół obywateli), w naszej strefie mieliśmy do czynienia zarówno z niewoleniem narodów, jak też panowaniem dynastii (Romanowowie, Habsburgowie, Osmanowie, w bardziej ograniczonym stopniu Hohenzollernowie). Wiek dwudziesty przyniósł wprawdzie wyrównanie, ale nie na długo, gdyż po drugiej wojnie światowej Międzymorze utraciło wolność polityczną i zostało wtłoczone w totalitarne okowy. W tym samym czasie w Zachodniej Europie nie tylko zwyciężyła i rozwinęła się demokracja, lecz dokonała ona ogromnego postępu gospodarczo-technicznego. Pod wpływem nowych możliwości materialnych oraz szybkiej unifikacji kulturowej, następującej na zachód od Łaby i Adriatyku, przez blisko półwiecze wytworzył się wielki dystans cywilizacyjny między dwoma częściami Europy; w jakiejś mierze jest to nawrót do układu z głębokiego średniowiecza.

Jest to jednak tylko dystans cywilizacyjny: nie różnica trwała, lecz przesunięcie w czasie. Bardzo jednak istotne, bo umieszcza naszą strefę na wyraźnie niższym poziomie, tym bardziej odczuwalnym, że w świecie tych samych wartości. Mamy, i przez jakiś czas będziemy mieli status gorszych. Nie innych – jak wobec rosyjskiego Wschodu, lecz gorszych w europejskim Zachodzie.

3. Wspólne zagrożenia

Zarówno względy geopolityczne, jak cywilizacyjne przynoszą wszystkim krajom Międzymorza te same zagrożenia. Od wschodu jest to Rosja, albo jakieś państwo kierowane przez Rosjan (lub, co gorsza, przez szybko wzrastających w demograficzną siłę sowieckich Azjatów). Jest wielce prawdopodobne, że wróci ono na tory ekspansji terytorialnej, jak to bywało w historii, po raz ostatni

pod postacią ZSRR. Najłatwiejszym kierunkiem będzie Międzymorze. Przyszła Rosja (ZSRR, czy jak to państwo, zawsze skore do zmiany nazw, będzie się nazywać) będzie miała ułatwioną ekspansję, przynajmniej początkowo, bowiem zaniknie lub zmniejszy się jego światowa rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi, a przestanie być bezpośrednim zagrożeniem dla Zachodniej Europy.

Zważywszy zróżnicowanie wewnętrzne Międzymorza, Moskwa może po każdy z jego krajów sięgać oddzielnie, albo też – podobnie jak przed półwieczem – podzielić swą ekspansję na parę faz. Przewaga geopolityczna Rosji pozostaje olbrzymia; biorąc pod uwagę tylko czynniki demograficzne, a pomijając przestrzenne czy gospodarcze, jest to przewaga nad Polską lub Ukrainą blisko czterokrotna, nad Białorusią – więcej niż piętnastokrotna, nad krajami bałtyckimi – trzydziestokrotna. Stanowi to swoiste zaproszenie do powtórzenia operacji, która była już wykonywana z powodzeniem; w starszej historii (w początkach i w końcu XVIII w.) oraz w nowej – gdy niespełna ćwierć wieku po kompletnym rozpadzie imperium carskiego odbudowane imperium sowieckie odebrało utracone kraje i zdobyło te, których opanowanie planowano znacznie wcześniej. Ponieważ nie mamy prawa zakładać, że zanikł i nie odrodzi się ekspansywny duch Moskwy, dysproporcje ciężaru geopolitycznego muszą być podstawowym czynnikiem naszej prognozy przyszłości.

Od zachodu zagrożenie ma inny charakter. Wprawdzie nie można wykluczyć tradycyjnych niebezpieczeństw. W naszym polskim przypadku byłby to ewentualnie jakiś spór terytorialny, wywołany przez żądania niemieckie. Naprawdę groźne jest coś innego. Na zachód od nas wyrósł potężny kolos gospodarczy. Zaczyna on się

powoli dławić na dość ograniczonym terytorium, niewystarczającym na równoczesne zaspokajanie wszystkich potrzeb lokalizacyjnych gospodarki oraz komfortu bytowania w dobrych warunkach ekologicznych zamożnych społeczeństw. Dochodzi do tego niedostatek siły roboczej, zwłaszcza w dziedzinach, w których nie chcą pracować miejscowi. Wynika z tego potrzeba znalezienia strefy, w której można by lokować to wszystko, czego Europa Zachodnia nie chce u siebie, a równocześnie jest jej potrzebne; a także potrzeba posiadania rezerwowej siły roboczej. Z zachodniego punktu widzenia najlepiej nadaje się do tego Międzymorze. Jest po prostu najbliższe. Tutaj można umieszczać uciążliwe przemysły, wydobywać surowce, urządzać wysypiska odpadów; równocześnie stąd można czerpać wystarczającą liczbę gastarbeiterów, a gdy staną się zbędni – odsyłać ich do domów. Tego rodzaju postępowanie nie musi być skutkiem świadomej polityki rządów. Znacznie gorzej: grozi nam w następstwie tysięcy zdecentralizowanych decyzji grup finansowych i przedsiębiorstw, szukających w pobliżu miejsca na to, czego nie mogą robić u siebie i okresowo potrzebujących większej ilości pracowników; jest to proces żywiołowy, bezwzględny w swym automatyzmie. Doprowadzić on może do przekształcenia naszej części Europy w swoistą półkolonię z półfabrykatami; do utrzymania, a nawet umocnienia dystansu cywilizacyjnego i przekształcenia społeczeństw Międzymorza w upośledzony, drugi gatunek Europejczyków.

4. Groźne, nierealistyczne pomysły

Zafascynowani dziejącymi się wydarzeniami, ludzie nie dostrzegają ich możliwych konsekwencji, zwłaszcza złych. Wydaje się, że tworzy się nowa rzeczywistość, która pozostanie już

niezmienna: Związek Radziecki będzie się ustawicznie rozpadał, Rosja pozostanie bezsilna, a otwarcie na Zachód stanie się równoznaczne z dopuszczeniem naszych społeczeństw do zachodniego dobrobytu. Niestety, wizje takie mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. Nie przeszkadza to, że buduje się na tych lotnych piaskach wielkie koncepcje polityczne.

Olśniewa żłuda przyłączenia się do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Ale jest to przecież ugrupowanie szczelnie zamknięte. Wejście każdego nowego kraju, jeśli nie zostanie on dostosowany gospodarczo do integracji, może przynieść poważne szkody Wspólnocie i jej dotychczasowym członkom. Dlatego przyjęcie każdego nowego kraju poprzedzone jest wieloletnimi przygotowaniem; w przypadku takiego kraju jak Polska, okres przystosowawczy musi wynosić ponad dziesięć lat. Opowiadanie, że możemy szybko wejść do EWG jest mydleniem oczu.

Źle by jednak było, gdybyśmy nastawili się na przystąpienie do EWG i zdecydowali cierpliwie czekać, kiedy nam się to uda. Wówczas cały nasz rozwój gospodarczy musielibyśmy z góry podporządkować interesom i potrzebom Wspólnoty Zachodnio Europejskiej. Niestety, oznaczałoby to zgodzenie się na przyjęcie przez Polskę takiego charakteru gospodarczego, jaki uzupełniałby ekonomikę zachodnioeuropejską. Siłą rzeczy prowadziłoby to do utrzymania surowcowo-energetycznego charakteru naszej gospodarki. Słowem, musielibyśmy pogodzić się z utrzymaniem ekonomiczno-technologicznego dystansu do Zachodu, z wszystkimi społecznymi i cywilizacyjnymi tego skutkami. Ubodzy krewni, dostosowani do wymogów bogatych i dopuszczeni na ich dwór, pozostają ubogimi krewnymi. Jeśli ktoś sądzi, że z racji naszych cierpień, będących następstwem tego, że zachodnie

mocarstwa sprzedały nas w Jałcie, Zachód poczuwał się będzie do jakiegoś zadośćuczynienia, jest niepoprawnym marzycielem. Starając się o przyjęcie do EWG z naszej najsłabszej pozycji, musimy być świadomi, że bezwzględnie narzucą nam wszystko, co tylko będzie im potrzebne. W polityce i gospodarce nie ma sentymentów.

To samo dotyczy pomysłów jakiejś unii politycznej. Europa Zachodnia ma wystarczająco dużo kłopotów z jej budową we własnym gronie. Poszerzenie tego procesu o kraje wschodniej Europy jeszcze bardziej komplikuje problem. Oczywiście, może to być korzystne dla któregoś z obecnych głównych członków Wspólnoty, zwłaszcza dla Niemiec. W tym wypadku wchodzilibyśmy do poszerzonego gremium politycznego jako narzędzie jednego z uczestników, wymierzone przeciwko innym. Rola nie do pozazdroszczenia.

Prawda jest taka, że poważnie myśleć o wejściu do politycznej i ekonomicznej Wspólnoty Zachodnio Europejskiej możemy dopiero wówczas, gdy zlikwidujemy główne dysproporcje dzielące nas od niej, wzniesiemy się na zbliżony poziom cywilizacyjny i uzyskamy wystarczającą rangę ekonomiczną i polityczną.

W cieniu czeka jeszcze druga koncepcja, przejściowo niepopularna, ale która może nagle nabrać rumieńców życia. Skoro nie możemy wejść do Zachodniej Europy, to pozostajmy u siebie, w dotychczasowym Obozie, tyle że całkowicie zreformowanym. Jest on ogromny, od Odry do Pacyfiku, pełen wszelkich bogactw naturalnych, ludny i żyzny, a zarazem zintegrowany politycznie i gospodarczo; zintegrowany jeszcze bardziej problemami i kłopotami, które wszędzie są takie same, a co najmniej podobne. Czy więc, wspólnym wysiłkiem, nie

rozwiązywać jednolicie tych problemów, czy nie stworzyć na nowo Obozu, tyle że demokratycznego, z ludzką twarzą, a zarazem potężnego geopolitycznie. Wprawdzie wydaje się, że już to mamy za sobą, ale skłonność do tego, aby jeszcze raz zrobić to lepiej jest nieodłączna od natury ludzkiej. W swoistej solidarności rządów obozowych, które w mniejszym czy większym stopniu starają się o maksymalną lojalność wobec Moskwy, zarodki takiej koncepcji są bardzo silne. Zupełnie niedostrzegalnie mogą się one umacniać, wraz z narastaniem coraz to nowych kłopotów spowodowanych dezintegracją starego Obozu i dążeniem reformatorów, aby raczej poprawiać, niż budować od nowa.

Jest to również koncepcja nieszczęsna, niemająca poza tym szans trwałej realizacji. Te same czynniki, które rozsadziły Obóz komunistyczny, rozsadzają również Obóz quasi-demokratyczny *à la mode russe*. Niezależnie od tego, że sam pomysł integracji wokół Kremla jest raczej obłądny. Nie przeszkadza to, że wśród pogrobowców PKWN i Romana Dmowskiego nigdy nie zanikł.

5. Geopolityczny imperatyw: integracja

A jednak integracja jest potrzebna. Taka, która nie będzie wynikać z nierealistycznych marzeń czy też uporczywego trzymania się starego, lecz z rzeczywistych, aktualnych interesów poszczególnych krajów.

Rysujący się coraz wyraźniej nowy układ geopolityczny i istniejące podziały cywilizacyjne wskazują jasno na wspólne zagrożenia wszystkich krajów Międzymorza. Groźba ze Wschodu – polityczna, a może polityczno-militarna, dotyczy w równej mierze wszystkich państw naszej strefy, choć najwyraźniej odczuwać ją będą kraje położone w obszarze Nizy Środkowoeuropejskiego, na

północ i wschód od Karpat. Zagrożenie z Zachodu – cywilizacyjno-gospodarcze, rozkładać się będzie bardziej równomiernie, lecz zapewne najszybciej da się odczuć w strefie dunajskiej. Jest tylko kwestią czasu, kiedy oba te zagrożenia się ujawnią. Będzie to bardzo silny czynnik spajający.

Wnioski są proste. Kraje Międzymorza, połączone we wspólnym bloku, tworzą wystarczająco wielki potencjał demograficzny, terytorialny i gospodarczy, aby zniwelować zagrożenie ze Wschodu. Same narody Niżu (Bałtowie, Białorusini, Ukraińcy i Polacy) liczą łącznie około 90 milionów, co już od biedy wystarcza wobec 150 milionów Rosjan; wespół z narodami strefy dunajskiej i bałkańskiej liczba ta wzrasta do ponad 150 milionów. Współdziałanie całego Międzymorza likwiduje w zarodku jakiegokolwiek rosyjskie możliwości wznowienia ekspansji na zachód.

Podobnie dzieje się w kontekście zagrożenia zachodniego. Wyrównać dysproporcję gospodarczą można tylko w warunkach wielkiego rynku. Taka jest prawidłowość ekonomiczna naszych czasów. U początku rozkwitu gospodarczego Europy Zachodniej znalazł się wspólny rynek. Umożliwiło to zarówno szybki skok technologiczny, jak globalne zwiększenie produkcji i wytworzenie potężnej gospodarki, kompletnej w swych funkcjach produkcyjnych, usługowych i handlowych. Nie chcę wyważać otwartych drzwi, bo sprawa jest oczywista. Kraje Międzymorza w pojedynkę nie są w stanie wytrzymać naporu potężnej gospodarki EWG i będą musiały ulec jej potrzebom i wymogom. Wspólnie mogą się obronić. Wspólnie będą też o wiele ciekawszym i bardziej potrzebnym partnerem dla Dalekiego Wschodu i Północnej Ameryki. W warunkach ostrej rywalizacji handlowej tych dwu

obszarów z Europą Zachodnią, Międzymorze może uzyskać uprzywilejowaną pozycję. Pod warunkiem, że zintegruje się gospodarczo; gospodarki poszczególnych krajów są po prostu za małe.

Czynniki obiektywne, wynikające ze wspólnych zagrożeń i potrzeb, skłaniają do integracji. Obok nich występują jednak tendencje przeciwne. Raz już, w początku naszego wieku okazały się one silniejsze. Niepowodzenie koncepcji federacyjnej Piłsudskiego oraz podział strefy dunajsko-balkańskiej na Małą Ententę i jej przeciwników spowodowały, że po dwudziestu latach względnego spokoju trzeba było dosłownie miesiąc, aby całe Międzymorze znalazło się w rękach mocarstw zewnętrznych. Partykularyzmy, zwłaszcza przybierające postać nacjonalizmów, są największym zagrożeniem. Jeśli zdominują one wzajemne stosunki między narodami naszej strefy, katastrofie nic nie będzie mogło zapobiec. Niestety, dają już one bardzo silny znak o sobie. Albańczycy i Serbowie w Kosowie, Węgrzy i Rumunii w Siedmiogrodzie, Węgrzy i Słowacy w Słowacji, ale także Słowacy i Czesi, Polacy i Litwini na Wileńszczyźnie – to główne ogniska zapalne.

Szczęśliwie, nacjonalizmy te nie są już równie silne jak kiedyś. Może najważniejsze znaczenie ma wyraźne ostudzenie, jeśli nie całkowite wygasanie konfliktu polsko-ukraińskiego. Siedemdziesiąt lat temu przesądził on o losie obu narodów; każdy z nich oddzielnie, w odstępie dwudziestu lat został zniewolony przez Rosję. Chyba nas to czegoś powinno nauczyć. Polacy długo jednak nie mogli zrozumieć Piłsudskiego, a Ukraińcy Szewczenki. Ogromną zasługę w zmianie tego stanu rzeczy ma wielki ukraiński mąż stanu i prawdziwy przywódca uciemżonego narodu – Jarosław Stećko. Wśród Ukraińców coraz wyraźniej ujawnia się

świadomość, że nie ma niepodległej Ukrainy bez niepodległej Polski, zaś Polacy po czasie zaczynają doceniać tezę Piłsudskiego, iż niepodległa Ukraina jest niezbędna dla utrzymania niepodległości Rzeczypospolitej. Budzi to wielkie nadzieje. Ukraińcy i Polacy są najliczniejszymi narodami całego Międzymorza, wspólnie stanowiąc blisko połowę jego łącznej ludności. Dlatego stosunki polsko-ukraińskie mogą przesądzić o powodzeniu całej koncepcji integracyjnej.

Obok nacjonalizmów występują inne partykularyzmy. Na ogół spowodowane są one doraźnymi kwestiami i chwilowymi interesami. Nieraz wynikają z problemów tak drobnych, że aż śmiesznych. Widać to w skłonnościach do zamykania granic, aby chronić wątłe zaopatrzenie rynku. Poważną rolę w umacnianiu i rozwijaniu tych partykularyzmów odrywać mogą kraje zewnętrzne, szukające partnerów dla wzmocnienia własnych pozycji i tworzenia czegoś w rodzaju mini-bloków. Obecnie występuje to wyraźnie w projekcie utworzenia tzw. grupy pentagonalnej, obejmującej jeden kraj EWG – Włochy, jeden kraj, który zapewne względnie niedługo znajdzie się w EWG – Austrię, oraz trzy kraje Międzymorza: Jugosławię, Węgry i Czechosłowację. Innym przykładem może być skłonność krajów bałtyckich do Szwecji, zresztą niezupełnie odwzajemniana.

Patrząc realnie, trzeba sobie zdawać sprawę, że wspólne zagrożenia i wspólne interesy w końcu okażą się decydujące. Aby tylko nie za późno. Bowiem świadomość tego geopolitycznego imperatywu wśród polityków naszej strefy jest, niestety, bardzo niska. Dotyczy to wszystkich krajów, lecz szczególnie mocno występuje w Polsce. Zważywszy na rangę Rzeczypospolitej i nasze możliwości polityczne, jest to bardzo niepokojące. Nie wolno

bowiem pocieszać się, że obiektywne procesy kiedyś dojrzeją. Konieczne jest, aby czynnie na nie wpływać. Dlatego zaniedbania Warszawy w tej mierze są wyjątkowo groźne.

Rząd Mazowieckiego czuje się chwilami urażony, że jego propozycje, kierowane do Budapesztu i Pragi, zresztą mało konkretne i bardzo ograniczone – nie spotykają się z należyтым odzewem. Dziwne by było, aby się spotykały. Po prostu polityka polska nie jest wiarygodna. Szczęśliwym dla siebie zbiegiem okoliczności rząd Mazowieckiego powstał wcześniej, niż doszło do rewolucji w Niemczech wschodnich, Czechosłowacji i Rumunii oraz nim nastąpiła zmiana władzy na Węgrzech, a także przed zasadniczym zwrotem na Litwie, Łotwie i w Estonii. Dawało to polskiej polityce zagranicznej olbrzymią szansę. Nawet płytka analiza sytuacji musiała prowadzić do wniosku, że po wydarzeniach polskich i w obliczu załamania wewnętrznego ZSRR – kolej przychodzi na inne kraje obozu. Warszawa powinna była wystąpić ofensywnie, z góry opowiadając się po stronie niewolonych narodów i dopomagając im politycznie, a może i gospodarczo. Nie wystarczył życzliwy stosunek, gdy u naszych sąsiadów zaczynało się coś dziać. Trzeba było stanąć na czele całego ruchu wyzwalających się narodów, dopomagać im, budować od początku wspólnotę. Wymagało to odważnych wystąpień wobec Moskwy, pociągało za sobą pewne ryzyko. W istocie bardzo niewielkie, bowiem Kreml mógł najwyżej demonstrować niezadowolenie, a bankrutujące rządy satelickie były już bezsilne. Niestety, tej wielkiej szansy nie potrafiono wykorzystać. Co gorsza, dla polityki Warszawy najważniejsze było zadowolenie Moskwy. Szczególnie jaskrawie uwidoczniło się to po litewskiej deklaracji niepodległości, gdy polityka polska, nawołując Litwinów do umiaru, w rzeczywistości stała się

narzędziem Kremla. Przyniosło to wielką szkodę nie tylko w kontekście przyszłej integracji, lecz również w rozwiązywaniu kwestii polskiej mniejszości na Litwie. To zasługiwanie się Moskwie musiało pozbawiać Warszawę wiarygodności w oczach narodów, które bardziej niż my potrafiły się wyrwać z satelickich więzów.

Ta nieumiejętność skorzystania z szansy równie silnie wystąpiła z okazji kwestii zjednoczenia Niemiec. Gdy powstawał rząd Mazowieckiego, oczywiste było, że likwidacja podziału Niemiec jest tylko kwestią czasu. Niezależnie czy nam się to podobało, czy nie – sprawa była przesądzona. Polityka, która musi opierać się na realiach i tylko realiach, powinna z tego wyciągnąć wnioski. Od dawna już Niemcy zabiegały o poparcie przez Polskę idei zjednoczenia, a chociażby o częściowe zrozumienie – uważając, że jedna z dróg do rozwiązania problemu niemieckiego prowadzi przez Warszawę. Rządy komunistyczne stały niezmiennie na stanowisku zajmowanym przez Moskwę, lecz rząd Tadeusza Mazowieckiego nie musiał. Tymczasem, gdy jesienią 1989 r. kanclerz Kohl przybył do Polski, premier Mazowiecki nie wyszedł poza przypominanie o rzekomo wspólnej walce Polaków i Niemców przeciwko dyktaturze Hitlera i rozważanie moralnych aspektów pojednania. Podjęcie wówczas kwestii zjednoczenia Niemiec i poparcie stanowiska Bonn w tej sprawie wywołałoby wprawdzie wściekłość Honeckera i niezadowolenie Gorbaczowa, lecz niewiele to mogło nam zaszkodzić. W zamian łatwo mogliśmy otrzymać nie tylko absolutne uznanie granicy polsko-niemieckiej, lecz także korzystne dla nas rozwiązanie kwestii z nią związanych, takich jak problem Zatoki Pomorskiej i poprowadzenia granicy niemieckich wód terytorialnych (i dna morskiego) na zachód od toru wodnego prowadzącego z północy do Świnoujścia, a także

problemu emisji gazów przez granicę z łużyckich elektrowni opalanych węglem brunatnym. Inną kwestią są odszkodowania niemieckie dla Polski i obywateli polskich, których nigdy w należnym nam rozmiarze nie otrzymaliśmy. Można wyliczyć jeszcze parę podobnych problemów, w tym pomoc gospodarczą, kwestie mniejszościowe (także: Polacy w Niemczech) i swobodę wyjazdów. Nikt nie ma chyba wątpliwości, że w październiku 1989 r. Kohl podjąłby we wszystkich tych sprawach najdalej idące zobowiązania, aby tylko uzyskać polskie poparcie dla zjednoczenia. Niestety, nie skorzystano z tej szansy – i nie korzystano przez długie miesiące, gdy zjednoczenie Niemiec zbliżało się wielkimi krokami. Szanse uzyskania korzyści dla Polski malały wprawdzie z każdym miesiącem, ale zanikły dopiero wraz ze zjednoczeniem. Nasza polityka nie uzyskała w tym czasie nawet traktatowych gwarancji granicznych (choć dojdzie do nich i bez naszych nalegań), a nieprzemyślane deklaracje o rzekomym zagrożeniu, wymagającym pozostania wojsk radzieckich w Polsce – przeniosły nam tylko niewątpliwą szkodę.

6. Ku jedności Europy

Integracja Międzymorza będzie zadaniem trudnym, zapewne tym trudniejszym, im później się do niej zabierzemy. Jedno jest niewątpliwe: trzeba bardzo skrupulatnie przestrzegać niezależności wszystkich krajów i cierpliwie budować taki system, który zyska akceptację wszystkich. Próba dominacji, narzucania innym rozwiązań jest niedopuszczalna. Wiele dopomogą nam doświadczenia Zachodniej Europy, która już ponad trzydzieści lat, licząc od Traktatu Rzymskiego z 1957 r., buduje swoją jedność. Wydaje się, że my również powinniśmy zaczynać od wspólnego rynku i wspólnej polityki obronnej. Formy integracji mogą być

bardzo różne i nie jest powiedziane, że od razu dotyczyć one powinny wszystkich krajów. Na pewno niektóre odczuwać będą potrzebę szczególnych związków (np. państwa bałtyckie), stanowiących jakby integrację w integracji. Inne kraje pozostaną przy luźniejszej formule. Z góry można przewidzieć, że będzie występowała tendencja do organizowania się dwu podukładów: północnego (Niż) i dunajsko-balkańskiego; może nawet będzie ich trzy.

Postępy integracji wymagać będą czasu. Zapewne przebiegać będzie ona z grubsza w formach i fazach, znanych nam z budowy Wspólnoty Zachodnio Europejskiej, choć na pewno będzie miała własną specyfikę. Tak czy inaczej, torować drogę powinna integracja gospodarcza, ale względnie szybko, dla rozwiązywania wspólnych problemów potrzebne będą instytucje polityczne: Rada Międzymorza, później parlament. Kluczowe znaczenie ma przepuszczalność granic wewnętrznych; im słabiej będą zarysowane, a ludzie uzyskają całkowitą możliwość poruszania się i osiedlania, gdzie się komu podoba – tym szybciej zanikać będą naprężenia wewnętrzne.

Jeśli procesy integracyjne nie zostaną szybko rozpoczęte, z groźną siłą ujawniać się będą niebezpieczeństwa zewnętrzne i wewnętrzne. Najpierw ujawni się zagrożenie gospodarcze z Zachodu: szybko umacniająca się dominacja gospodarcza, przekształcanie krajów Międzymorza w strefę upośledzoną i ekonomicznie zależną. Wkrótce potem pojawi się zagrożenie ze Wschodu. Jeśli nawet ZSRR się rozpadnie, to pozostanie Rosja. Zagrożenie to nie wystąpi dopiero wówczas, gdy wyjdzie ona z kryzysu i odbuduje swoją siłę. Daje ono o sobie znać już dziś, gdy Moskwa z takim uporem stara się utrzymać zachodnie republiki w

ramach jednego państwa, choćby federalnego. Pamiętać bowiem musimy, że gdy Rosja utrzyma związki państwowe z Ukrainą i Białorusią, będzie to otwarcie drogi do przyszłej rosyjskiej ekspansji zachodniej. Pod względem geopolitycznym przynależność dorzecza Dniepru decyduje o stosunku sił między Rosją a Międzymorzem; pod względem geostrategicznym otwiera – lub zamyka – drogę Rosji na zachód.

Równocześnie wystąpią niebezpieczeństwa wewnętrzne; spory i konflikty poszczególnych krajów, napięcia narodowościowe, kłopoty gospodarcze. Powodować to będzie dalsze osłabienie całej strefy i zmniejszanie jej zdolności obronnych przed zagrożeniami zewnętrznymi.

Od powodzenia integracji zależy nasze być albo nie być. Po prostu żaden z naszych krajów w pojedynkę nie ma wystarczającej szansy. Na wschód od nas przetrwa Rosja, na zachód kształtuje się kolos gospodarczo-polityczny. Naiwne byłoby przypuszczenie, że między tymi wielkościami jest miejsce na małych i średnich. W czasie historycznym, w którym żyjemy, takiego miejsca nie ma. Bez integracji tej strefy nasz los znajdzie się pod znakiem zapytania.

Integracja decyduje nie tylko o naszej przyszłości. Jest ona niezbędna dla Europy. Wspólnota Międzymorza umożliwi względnie szybkie – w kilkanaście czy dwadzieścia parę lat – wyrównanie dysproporcji gospodarczych i cywilizacyjnych między nami a zachodnią częścią kontynentu. Jest to warunek niezbędny, aby w nadchodzącym stuleciu dokonać zjednoczenia całej Europy.

Integracja Międzymorza i zjednoczenie Europy

Jest to fragment opracowania pt. „Demokracja przeciw demokracji” z 1994 r.

Pełen tekst na stronie: www.earchiwumkpn.pl

30 lipca 1994 r. w Kijowie podpisałem dokument o utworzeniu Ligi Międzymorza – skupiającej tego dnia (bo dziś już więcej) piętnaście partii z 6 krajów położonych między Bałtykiem a Morzem Czarnym. Otwarta została nowa droga polityczna do integracji krajów naszej części Europy, zorientowanej na Zachód i stanowiącej wstęp do przyszłego zjednoczenia całej Europy w jej rzeczywistych granicach naturalnych, cywilizacyjnych i kulturowych.

Pod pojęciem Międzymorza (albo strefy ABC) rozumiemy wyraźnie wyodrębniony region geopolityczny położony między Adriatykiem, Bałtykiem i morzem Czarnym. Składa się on z dwu części, przedzielonych Karpatami i Sudetami. Wszystkie kraje tego regionu znalazły się po pierwszej, względnie po drugiej wojnie światowej pod dominacją sowiecką, niektóre zostały wcielone do ZSRR. Wszystkie przez kilkadziesiąt lat cierpiały w jarzmie komunistycznym. Wszystkie budują obecnie demokrację i gospodarkę rynkową oraz szukają możliwie bliskich więzi z Zachodem, zwłaszcza z USA i krajami Unii Europejskiej.

Projekt ABC przewiduje, że geopolityczny region Międzymorza powinien powtórzyć drogę, jaką z sukcesem odbyła zachodnia Europa. W oparciu o wspólnie tworzony system demokratyczny i gospodarkę rynkową, współpracę polityczną i obronną,

sukcesywnie rozwijany wspólny rynek, realizując wspólne programy ekologiczne i rozbudowy infrastruktury – doprowadzimy do szeroko zakrojonej integracji wszystkich państw regionu. Podobnie jak w przypadku EWG, będzie to proces długotrwały i obejmujący kolejno poszczególne państwa. Jednoczenie Europy zachodniej zaczęło się od porozumienia francusko-niemieckiego, Traktat Rzymski w 1957 r. podpisało 6 państw, dziś wspólnota poszerza się do 16 krajów. Osią integracji Międzymorza powinno być porozumienie polsko-ukraińskie; oba te państwa zaludnia ponad 60% ogółu ludności strefy ABC. Z polskiego punktu widzenia korzystnie będzie, jeśli integracja rozpocznie się od północnej części regionu, po tej stronie Karpat; szczęśliwie znajdujące się tutaj kraje zaczynają bardziej doceniać potrzebę integracji – jeśli chcą zachować niepodległość i odrębną tożsamość. Możemy spodziewać się, że proces ten niebawem bardzo przyspieszy.

Jak dowodzą doświadczenia EWG, już samo rozpoczęcie procesu integracji prowadzi szybko do korzystnych skutków. Przyspieszona zostanie transformacja ustrojowa, a występujące w jej trakcie błędy łatwiej będzie eliminować. Głównych korzyści można się spodziewać, i to względnie szybko, w gospodarce. Problemy, z którymi każdy z naszych krajów musiałby borykać się nie wiedząc jak długo, znacznie łatwiej rozwiązywać wspólnie. W dodatku lepiej wiemy jak to robić, bo doświadczenia EWG stoją dla nas otworem. Wykorzystanie komplementarności gospodarek naszych krajów i potęgowania możliwości w niektórych dziedzinach przesądza, jak to było w zachodniej Europie, o doprowadzeniu do całej serii cudów gospodarczych – które są niczym innym, jak uruchomieniem istniejących, a nie wykorzystywanych potencjałów. Wychodzenie z kryzysu

gospodarczego prowadzi będzie do odczuwalnej poprawy stopy życiowej, co z kolei umocni tendencje i procesy integracyjne. Zacznie działać pozytywne sprzężenie zwrotne.

Integracja Międzymorza musi następować nie przeciw, ale we współpracy z Unią Europejską. Podobnie jak integracja zachodniej Europy następowała w bliskiej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi; przywódcy USA rozumieli, że korzystniejsze dla Ameryki i świata jest dopomożenie, aby powstał silny partner na drugim brzegu Atlantyku, niż utrzymywanie nad krajami zachodnioeuropejskimi dominacji politycznej czy gospodarczej. Europa zachodnia zamyka się dzisiaj w granicach wyraźnych regionów geopolitycznych, zgodnie z postanowieniami traktatu w Maasstricht. Nie jest – a tym bardziej nie będzie dla niej obojętne, czy dalej na wschód, ale jeszcze w Europie rozpościerać się będzie zdeintegrowana strefa destabilizacji społecznej i ekonomicznej, szarpana konfliktami etnicznymi i socjalnymi – czy też powstanie tam silny partner, zorientowany na zachód, gotów do współpracy w każdej dziedzinie¹, unifikujący z Unią Europejską swe systemy prawne, gospodarcze, ekologiczne i – co najważniejsze – przygotowujący się do przyszłego zjednoczenia całej Europy.

Integrację Międzymorza można bowiem rozumieć jako drogę do zjednoczenia Europy. Jak wiadomo, skutecznie integrować można tylko kraje czy regiony zbliżone cywilizacyjnie i kulturowo, które osiągnęły podobny poziom cywilizacyjny i gospodarczy, w tym poziom zamożności. Tak prowadzone było poszerzanie EWG – i nie dziwnego. Jeśli bowiem zintegrujemy kraje zasadniczo różniące się poziomem cywilizacyjnym, bardzo bogate i bardzo

¹ Także militarnej; nie żyjemy przecież w XIX w., a rozwój techniki wojennej spowodował, że zagrożenie Warszawy jest również zagrożeniem dla Paryża.

biedne – uzyskujemy efekt przeciwny do zamierzonego: prowokujemy tylko konflikty, w dodatku bardzo dramatyczne. Bogaci nie chcą popaść w ubóstwo, utrzymując biedniejszych; biedni uważają, że są dyskryminowani i pragną zmienić ten stan rzeczy. Taka nierównowaga może być skutecznie kontrolowana w kraju totalitarnym, ale – jak widzimy – tylko do czasu. W systemie demokratycznym prowadzi ona szybko i nieodwołalnie do bardzo ostrych konfliktów i doprowadza do całkowitej dezintegracji.

Dzisiaj różnice między strefą ABC a zachodnią Europą są ogromne. Trzeba długich lat, aby je zniwelować. Zintegrowane Międzymorze uczyni to znacznie szybciej niż byłby zdolny pojedynczo którykolwiek z krajów tego regionu. Dość powszechnie przyjmuje się, że integracja zachodniej Europy przyśpieszyła zrównanie poziomu z USA o jedną trzecią; niektórzy mówią nawet o połowie. W przypadku Międzymorza przyśpieszenie nie będzie mniejsze, a zapewne większe: po drugiej wojnie światowej Europa musiała nie tylko dokonać całkowitej transformacji, ale także odbudować się ze zniszczeń wojennych i doprowadzić do uspokojenia narodowych nienawiści, które swe apogeum osiągnęły nie podczas, ale zaraz po drugiej wojnie światowej. My szczęśliwie mamy za sobą powojenną odbudowę i – poza krajami byłej Jugosławii – nie występują trwałe i żywe wzajemne nienawiści, przynajmniej w skali masowej; narody naszej strefy na własnej skórze poznały, do czego one prowadzą.

Integrując Międzymorze, przyśpieszamy moment zrównania poziomów naszej i zachodniej części Europy; otwiera to rzeczywistą możliwość zjednoczenia. A ponadto trzeba pamiętać, że to przyśpieszenie oznacza dla zwykłego obywatela szybsze osiągnięcie zachodniego poziomu życia.

Dzisiaj spotykamy się z masową propagandą aby iść do Zachodu na skróty. Mówią: gdy staniemy się członkiem EWG i przyjmą nas do NATO, skończy się kryzys gospodarczy i będziemy mieli zapewnione bezpieczeństwo zewnętrzne; nie oglądajmy się na innych i korzystajmy z tej szansy sami. Trąci to trochę dmowszczyzną, zwłaszcza ten egoizm narodowy, ale perspektywa jest rzeczywiście zachwycająca. To wspaniałe stać się pełnoprawną częścią Unii Europejskiej i korzystać z tarczy i miecza NATO; dostaniemy pieniądze z funduszy wyrównawczych na nieefektywne fabryki i przestarzałe rolnictwo, każdy będzie mógł uzyskać dobrą posadę w Paryżu czy Monachium, zaś amerykańscy chłopcy i ich bomby wodorowe w razie czego obronią nas przed Rosjanami. Zachwycające – żyć nie umierać.

Oczywiście, zbyt to piękne, aby mogło być prawdziwe. Trudno pozbyć się wrażenia, że główni twórcy tej baśni europejskiej wiedzą doskonale, że to tylko bajka, lecz posługują się nią naiwnie (a może cynicznie?) dla zdobycia opinii publicznej i pozyskania silniejszego poparcia wyborczego.

Wejście Polski do Unii Europejskiej obecnie i w dającym się przewidzieć czasie jest niemożliwe; traktat z Maastricht jeszcze bardziej zatrzasnął bramę. Nie chcą nas tam – i nie należy się temu dziwić, ani mieć do kogokolwiek pretensję. Każdy troszczy się przede wszystkim o swój interes. Czemu zachodni Europejczycy mieliby ryzykować własną stabilizację ekonomiczną i osiągnięty ciężką pracą dobrobyt oraz ponosić ogromne koszty utrzymania i przebudowy gospodarki 40 milionowego narodu? Czesi, aby zmniejszyć ten ciężar, rozbili federację ze Słowacją, ale 10 milionów ludzi to też za dużo, aby wziąć ich na utrzymanie. 4 milionowa Norwegia stała się kandydatem do Unii Europejskiej

dopiero po tym, jak odkryła i zagospodarowała bogate złoża ropy naftowej na dnie morskim – i przez sporo lat nagromadziła znaczne fundusze. Proszę porównać jej produkt globalny *per capita* z przeciętnym w EWG. Spójrzmy prawdzie w oczy: przyjęcie Polski do Unii Europejskiej będzie dopiero wówczas realne, gdy nasz produkt globalny na głowę mieszkańca zwiększy się przynajmniej trójrotnie, a wcześniej wszystkie nasze problemy, zewnętrzne i wewnętrzne, w tym gospodarcze, zostaną pomyślnie rozwiązane. Dobrze będzie, jeśli to sobie uświadomią wszyscy ci, którzy tak bardzo chcą znaleźć się w Unii Europejskiej, że na razie starcza im Unia Wolności².

Przyjęcie Polski do struktury militarnej NATO i wysunięcie zintegrowanych linii obronnych paktu na Bug i San jest niemożliwe. Pakt Północno-Atlantycki powstał jako odpowiedź na militarne zagrożenie zachodniej Europy przez ZSRR. Związek Radziecki już nie istnieje, dzisiaj nikt na Zachodzie nie odczuwa militarne zagrożenia ze strony Rosji, a Moskwa coraz bardziej wprawia się w rolę młodszego partnera Waszyngtonu. Pakt stracił swój sens strategiczny i polityczny. Struktura militarna NATO tworzona była przez ponad czterdzieści lat³ kosztem setek bilionów, a może trylionów dolarów; zbudowano ją na obszarze sięgającym po dolną Łabę, zachodnie przedpola gór Harzu, Turyńskiego i Czeskiego Lasu; Berlin zachodni nie został nią objęty. Zjednoczenie Niemiec nie spowodowało przesunięcia linii obronnych NATO na wschód; zintegrowana struktura militarna

² Nie ukrywają tego zachodni politycy. Oto jedna z ostatnich (z 22.8.94 r.) deklaracji: Przystąpienie krajów wschodniej i środkowej Europy do Unii Europejskiej przez długie lata będzie jeszcze niemożliwe ze względu na ich zacofanie gospodarcze - powiedział niemiecki minister gospodarki Gunter Rexrodt. Tego rodzaju deklaracje, dość typowe, rzadko jednak docierają do polskiej opinii publicznej.

³ Jej budowa zapoczątkowana została uchwałami Rady NATO, obradującej w 1950 r. w Lizbonie.

pozostała tam, gdzie była. I nic dziwnego; przesunięcie jej trzysta kilometrów na wschód, do linii Odry, wymagałoby wydatkowania dobrej setki miliardów dolarów. Na Zachodzie powszechnie uważają, że byłoby to wyrzucaniem pieniędzy w błoto; znacznie taniej można sobie kupić Rosję. Podczas ostatniej kampanii wyborczej w USA obaj kandydaci na Prezydenta zapowiadali radykalne ograniczenie wydatków na NATO, a Bill Clinton wypadł bardziej wiarygodnie niż George Bush. Od tego czasu zmieniło się o tyle, że terminy odangażowania się militarnego USA w Europie zostały wyraźnie skrócone. NATO w obecnej formule militarnej i politycznej nie ma przed sobą zbyt długiego żywota. Przypuszczenia, że Pakt poszerzy się i rozbuduje swą strukturę na wschód są niepoważne; kto za to zapłaci? Nawiasem mówiąc udział finansowy Polski w takim przedsięwzięciu, obliczany najtaniej, wyniósłby wiele miliardów dolarów; czy wzięlibyśmy je z rezerwy budżetowej? Śmieszne.

Oczywiście, polityka próśb i nalegań może przynieść pewne rezultaty; polityków zachodnich charakteryzuje raczej miękkość, niż stanowczość. Zawsze wynajdą jakieś rozwiązania połowiczne. Takim jest Partnerstwo dla Pokoju. Do niczego nie zobowiązuje, bezpieczeństwa przed agresją nie zapewnia, ale opinii publicznej dobrze się sprzedaje. Nawet sławetne gwarancje brytyjskie z 1939 r. są przy nim granitową skałą. Nie tak długo wymyślone zostaną podobne partnerstwa z Unią Europejską. Już słyszymy z ust niektórych zachodnich polityków, że im równie zależy na przyjęciu Polski do UE, jak Polakom; skoro tak, to może poprą i przegłosują wniosek o przyjęcie? Zamiast tego będzie się wyznaczać różne terminy. Ich cechą charakterystyczną jest to, że upływają po zakończeniu kadencji tych, którzy je wyznaczają. O realizację niech się martwią następcy. Wiemy co zrobią: wyznaczą nowe

terminy. Zaś na razie umacnianie związków z Europą będzie na ogół polegać na stwarzaniu lepszych warunków, ale do eksploatacji gospodarczej Polski. Dobre intencje polityków rozplyną się pod naporem biznesmenów. Może nie za głośno, ale już zupełnie konkretnie mówi się w niektórych kręgach finansowo-politycznych, czym być powinna dla nich nasza część Europy: półkolonią z półfabrykatami. Rozważa się status podobny do specjalnych stosunków gospodarczych łączących kiedyś Francję z krajami afrykańskimi; tym razem, oczywiście, nie może być zgody na zarobkową migrację, błędu popełnionego z Arabami nikt nie zamierza powtarzać.

Główne niebezpieczeństwo takich połowicznych rozwiązań tkwi gdzie indziej: utwierdzają one podział Europy. W oczekiwaniu na przyszłe wejście do Unii Europejskiej Polski, a także Czech, może jeszcze Węgier i Słowenii, wątpliwe już, czy także Słowacji i Chorwacji – kraje te w taki czy inny sposób zostaną związane z Zachodem. Wszystkie pozostałe – od Estonii po Serbię – wrócą pod kuratelę Moskwy. Już obecnie rozwijane są, nie tylko w Rosji, koncepcje integracji euroazjatyckiej, tworzącej drugi i odmienny porządek obok euroatlantyckiej⁴. Jest to zapowiedź nowego podziału Europy.

Taki podział Europy to nic innego, jak rezygnacja z integracji europejskiej. Wprawdzie wobec stanu sprzed dziesięciu lat następuje przesunięcie granicy podziałowej, lecz tym samym zostaje ona przywrócona. Wschód i Zachód pójdą odmiennymi drogami. Dobrze jeszcze, jeśli będą one pokojowe. Gorzej, jeśli Wschód wróci do imperialnej polityki i za swój cel uzna militarną agresję w stronę Atlantyku. Nie będzie się to podobało w Berlinie,

⁴ Szczęśliwie, do niej jeszcze zalicza się Polskę, ale nie wiadomo, na jak długo.

Paryżu, Waszyngtonie – ale pogodzą się z taką sytuacją. Nie mają innego wyjścia. Zresztą, i tak zyskają wiele; Europa będzie dla nich lepiej podzielona.

Przy takim rozwoju sytuacji Polska stanie się krajem frontowym. Zachód, w porównaniu ze stanem poprzednim, uzyskuje szeroką strefę buforową od Adriatyku po Bałtyk. Zaspakajać ona będzie niektóre potrzeby gospodarcze Unii Europejskiej i zapewniać większe bezpieczeństwo strategiczne. Polska, Czechy, Węgry stworzą szerokie przedpole przed przygotowanymi liniami obronnymi NATO. Nim wojska agresora przejdą ten *no man's land*, poniosą olbrzymie straty, a obrona zachodnia stanie się silniejsza.

Taki obrót wydarzeń nie jest przesądzony, rzecz jasna. Politycy zachodni mają nadzieję, że Rosja wkroczyła trwale na drogę demokracji i pokoju. Prezydent Franklin Delano Roosevelt też uważał, że jeśli da się *Uncle Joe* (Stalinowi) wszystko, czego zażąda, to zrozumie nasze dobre intencje i przywróci w Rosji chrystianizm. Cóż, polityków nie rodzi się na kamieniu, sami rosną.

Ale przyjmijmy, że wszystko potoczy się jak najlepiej. Co najwyżej, będziemy tylko służyć, zatrzymującą falę uciekającą przed biedą w demokratycznej Rosji. Funkcja państwa frontowego nigdy nie bywa zbyt przyjemna. W tym wypadku nasz interes narodowy dozna szczególnego uszczerbku.

Podział Europy wzdłuż Bugu jest niczym innym, jak utrwaleniem granicy rozbiorowej z 1795 r. Rozerwała ona żywą tkankę, ale nigdy nie dokonała tego dość trwale. Pozostała jakoś sztuczna, nie odcięła od siebie ani krajobrazów, ani serc ludzi. Odrzucając na

bok wszelkie nacjonalizmy i rewizjonizmy terytorialne, stwierdzić musimy, że jest to obustronnie granica krzywdy i bólu, granica, która utrzymywała i znów może utrzymywać stan zniewolenia ludzi i narodów. Estończycy, Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy nie pragną może do Polski, ale pragną do Europy, do Zachodu. Nie chcą być znowu odcięci od świata, którego czują się częścią.

Inna kwestia. Jak wiadomo, ojczyzna i terytorium państwowe nie muszą się pokrywać. Trochę ponad 40 milionów Polaków od dziesiątków pokoleń żyje w swojej ojczyźnie; dla większości ta ojczyzna znajduje się na terytorium państwowym RP, dla niektórych na terytorium państwowym Ukrainy, albo Białorusi, albo Litwy, albo Łotwy, albo Czech. Ojczyzna Ukraińców, ojczyzna Białorusinów, ojczyzna Litwinów rozpościerają się na terytorium Polski, a przekraczają również i wspólne im granice. Ojczyzna Węgrów sięga głęboko w Siedmiogród, w Wojwodinę i Słowację. Czy chcemy to zmienić, czy mamy zastosować czystki etniczne i wypędzanie, powtórzyć tragiczną drogę narodów Jugosławii? A może zakładamy, że władze demokratycznej Polski będą w stanie nie upomnieć się o Polaków, jeśli im w ich własnej ojczyźnie, choć poza granicą państwową, będzie działa się krzywda? A może nie upomni się o Ukraińców Ukraina, o Litwinów Litwa? Jeżeli będziemy państwami frontowymi Eurazji i Euroatlantyku, granica między nami stanie się granicą nienawiści i nieprzerwanego konfliktu. Na Boga, czy chcemy tego?

Zintegrowane Międzymorze wszystkie te problemy rozwiązuje – podobnie jak udało się je rozwiązać w EWG. Łączy to, co połączyła geografia i historia. Jest korzystne dla naszych narodów. Jest

korzystne dla zachodniej Europy. Także pod względem strategicznym.

Nikt nie da gwarancji, że imperializm rosyjski nie odrodzi się i że nie stanie się znów groźny. Może nie dla całego świata, ale dla Europy. Dalekie potęgi nie będą nawet próbować go zatrzymać. Jeśli jednak powstanie zintegrowana struktura geopolityczna Międzymorza, obejmująca blisko 200 milionów ludzi, to będzie ona dostatecznie silna, aby ktokolwiek odważył się na nią napaść. W całej strefie obejmującej Europę i północną Azję powstanie zupełnie nowy układ sił, zapewniający równowagę i wzajemne bezpieczeństwo.

No dobrze, powie ktoś, wszyscy na tym skorzystają, straci tylko Rosja.

To niezupełnie prawda. Straci imperializm rosyjski. Dziś jest on głośny, ale całkowicie bezsilny. Straszyc może tylko tych, którzy lubią się bać. Mami się myślą, że za piętnaście, dwadzieścia lat, gdy odbudowana zostanie materialna potęga Rosji, sprawiedliwość dziejowa, upostaciowana w dywizjach rosyjskich, dokona rozrachunku z Europą. Niecierpliwi już dzisiaj zachowują się tak, jakby z Kremla rządzono światem. *Point de rêveries, Messieurs!* Po Wielkiej Smucie Moskwa mogła się podnieść do imperialistycznego wzlotu, ale tylko dlatego, że po jej zachodniej i wschodniej stronie zwyciężały dezintegracyjne partykularyzmy.

Czy jednak Rosja naprawdę musi stracić? Integracja Międzymorza przesądza pozytywnie o kierunku przeobrażeń rosyjskich. Odepchnięta od Dniepru, Moskwa nie będzie mogła nawet marzyć o wznowieniu imperialistycznej polityki. Siłą rzeczy skupi się na problemach wewnętrznych. Będzie mogła naprawdę dobrze

zagospodarować ten olbrzymi kraj, stworzyć trwały ustrój demokratyczny. Czy jakakolwiek inna alternatywa jest dla Rosjan korzystniejsza?

W perspektywie widzieć więc trzeba powstanie nowego geopolitycznego systemu północy. Objąłby on północną Amerykę (formującą się NAFTA), zjednoczoną Europę (Unię Europejską plus Międzymorze) oraz północną Azję (Rosja) i Daleki Wschód (Chiny, Japonia). W obliczu narastającej groźby konfliktu między bogatą Północą a biednym Południem, jaki może wypełnić przyszłe stulecie – mogłoby to mieć kluczowe znaczenie. Także dla powstrzymania tego globalnego konfliktu.

To wielkie sprawy przyszłości świata. Wracając na nasze podwórko, do problemów regionalnych i spraw samej Polski, trudno znaleźć rozwiązanie korzystniejsze dla nas i naszych sąsiadów, niż integracja Międzymorza. Tej wielkiej szansy, jaką po kilkuset latach dała nam historia, nie możemy zmarnować. Za żadną cenę.

Gospodarzem sytuacji **na Ukrainie jest naród**

Jest to rozmowa z Leszkiem Moczulskim przeprowadzona przez Mirosława Lewandowskiego 5 grudnia 2013 r., pierwotnie opublikowana na forum „Polonus” (obecnie przeniesione na adres: www.konfederat.pl).

Pojawiające się w Polsce komentarze dowodzą, że na ogół ich autorzy nie rozumieją w pełni sytuacji ukraińskiej i ślizgają się po powierzchni zjawisk. Początkowe całkowite niedostrzeżenie społeczeństwa ukraińskiego jako kluczowego aktora wydarzeń świadczy, jak słabe było rozpoznanie rzeczywistej sytuacji na Ukrainie.

1. Rosja nie może niczego Ukrainie narzucić

Zacznijmy od kwestii doraźnych, którym poświęca się najwięcej uwagi. Mówi się, że Rosja może wszystko Ukrainie narzucić. W Polsce od lat tworzy się psychozę rzekomej potęgi i wszechmocy Rosji (nie tylko przez PiS, chociaż propaganda tej partii jest najsilniejsza). Tymczasem w porównaniu do Związku Sowieckiego, nawet nie tego z wcześniejszych okresów, ale z 1989 roku, dzisiejsza Rosja jest tylko cieniem dawnej potęgi. Nawet pod mniej się dzisiaj liczącym względem militarnym. Jak na światową potęgę, ma przestarzałą armię, która bardzo drogo kosztuje. Jej głównym walorem są głowice atomowe i pociski balistyczne sprzed ćwierćwiecza, których dzisiaj nie ma przeciwko komu użyć. Te pociski lecą na odległość 6-8 tys. kilometrów, ale we współczesnym świecie brak przeciwnika, któremu Rosja mogłaby taką bronią zagrozić. Zimna wojna i epoka wzajemnego szantażu

atomowego supermocarstw skończyła się dawno, wartość polityczna i militarna tzw. strategicznych środków masowego zniszczenia uległa ogromnej redukcji. Co do wojsk operacyjnych, krytyczna dyskusja rosyjska po wojnie gruzińskiej najlepiej ukazuje ich słabości.

Rosja cały czas leci w dół. Z roku na rok jest mniej o milion Rosjan. Zaludnienie Rosji spada co roku o 750 tys., a różnica wynika z wysokiego przyrostu naturalnego mieszkańców kultury islamskiej. Średni wiek mężczyzn Rosjan spadł do 57 lat.

Rosyjski szantaż gazowy jest bronią obosieczną. Rosja może zakręcić kurek z gazem dla Ukrainy, tylko że w tej chwili magazyny z gazem na Ukrainie są pełne. Ukraina w tym roku nie potrzebuje już rosyjskiego gazu. Zakręcając kurek, Putin jedynie wstrzyma dopływ pieniędzy za paliwo. Szantaż gazowy może być skuteczny tylko wobec tych państw, które nie mają zapasów ani alternatywnych źródeł dostaw. Ale nawet takim krajom można zakręcić kurek tylko na krótko, bo zakręcenie kurka oznacza dla odbiorców tylko kłopoty z szukaniem innego dostawcy, a dla Rosji zamknięcie sobie drogi do pieniędzy. Dla gazu sprzedawanego na zachód nie ma alternatywnego kupca.

Oczywiście, Rosjanie mają jeszcze inne możliwości gospodarczego nacisku na Ukrainę. Ale za każdym razem uderzają w ten sposób również we własną gospodarkę, gdyż handel jest dwustronny. Obie strony dlatego handlują, bo tego potrzebują. To nie jest tak, że Rosja może podejmować działania gospodarcze, które innym zaszkodzą, a jej nie. Jej też zaszkodzą, a gospodarka rosyjska jest obecnie w raczej złym stanie.

W tej chwili największym rosyjskim niepowodzeniem politycznym jest postępujące porozumienie amerykańsko-irańskie. Otwiera ono drogę do wznowienia szerszego eksportu irańskiej ropy i gazu – co już teraz doprowadziło do spadku cen. Może ważniejsze są straty polityczne. Rosja była Stanom Zjednoczonym potrzebna, gdy USA pozostawały w konflikcie z Iranem i prowadziły wojnę w Afganistanie. Teraz to się kończy, polityczna potrzeba zanika.

Putin jest w stanie coraz ostrzej grozić, ale nie jest w stanie wiele zrobić. Taka polityka skutkuje jedynie wobec tych, którzy się go boją. Zresztą niektórzy politycy w Polsce posługują się straszakiem Rosji instrumentalnie, tylko po to, aby pozyskać wyborców, zwłaszcza takich, którzy nie wiedzą, czemu jest im źle. Są także tacy w Polsce, którzy naprawdę boją się Rosji, bo nigdy się jej bać nie przestali. Gdyby to oni decydowali, nadal bylibyśmy rosyjską półkolonią.

Wpływ Putina na decyzję Janukowycza był na pewno niemały. Co sowiecki przywódca przez to osiągnął? Zapewnił sobie, że teraz Ukraina na pewno nie przystąpi do montowanej przez niego Unii Eurazjatyckiej, a także stracił wiele na wiarygodności u polityków zachodnich.

2. Perspektywa Unii Europejskiej

Ważnym aktorem obecnego kryzysu politycznego jest Unia Europejska. Powody zaangażowania UE wynikają z perspektywy długofalowej. Aby mogła konkurować w zglobalizowanym świecie z azjatyckimi potęgami demograficznymi, musi zbliżać się do nich potencjałem geopolitycznym, m. in. dysponować dostatecznie wielkim rynkiem wewnętrznym. Stąd konieczność zjednoczenia całej Europy. Te pół miliarda ludzi, którzy mieszkają obecnie na

terytorium Unii Europejskiej, za 20 lat może okazać się wielkością zbyt małą. Dlatego Unia musi się rozszerzać, także poza geograficzne granice Europy. Chodzi zarówno o alternatywne kierunki, jak też kolejność w czasie. Niektórzy politycy Unii patrzą na południowy wschód, tj. na Turcję i na Gruzję, inni patrzą na południowy zachód, czyli na basen Morza Śródziemnego, północno-zachodnią Afrykę, Amerykę Łacińską. My i liczne inne kraje członkowskie patrzymy na wschód.

Po dłuższych dyskusjach ta ostatnia opcja wysunęła się na czoło. Unia Europejska nie szuka tutaj jakiś doraźnych korzyści, pragnie przyciągnąć Ukrainę do Europy bardziej politycznie, niż gospodarczo, ale także ułatwić jej transformację ekonomiczną. Wynika to z potrzeb perspektywicznych. Ukraina jest dużym krajem, ma rozwiniętą i liczącą się w świecie gospodarkę. Obecnie została pogrążona w kryzysie, stowarzyszenie z UE i związana z tym pomoc pozwolą oderwać się od dna. Wpłyną również na rozwój i umocnienie demokracji, zdławienie korupcji itd. Wszystko to umożliwi dokonanie właściwej integracji. Trzeba pamiętać, że w przypadku wielkich krajów jest to znacznie trudniejsze i bardziej kosztowne, niż małych. Przecież wdrażanie integracji oznacza, że Europa – przynajmniej przez pierwsze dziesięciolecia – będzie dawać, nie brać.

Nawet w przypadku mniejszych krajów integracja jest trudna. Znane są kłopoty z Bułgarią, ale w porównaniu z Ukrainą to niewielki kraj. Wejście tak dużego kraju do Unii wymaga przygotowania obu stron. Obecnie bez kłopotów podpisano układ z niewielką Mołdawią. Większe kłopoty mogą być z przygotowaniem Gruzji. Ale i z nią podpisano układ stowarzyszeniowy. Ukraina to kraj rozleglejszy od Francji i z

czterdziestoma paroma milionami mieszkańców byłby na czwartym miejscu w Unii. Przyjęcie takiego kraju do Unii jest bardzo dużym niebezpieczeństwem gospodarczym. Integracja wymagać będzie wielu lat przygotowań. Osobiście uważam, że szybciej niż Ukraina wejdzie do UE Białoruś – mimo że obecnie wydaje się to nierealne.

Fiasko wileńskie z zadowoleniem przyjęły niektóre kraje UE. Odłożenie stowarzyszenia Ukrainy zwalnia niemało środków. Spora grupa krajów członkowskich ze strefy śródziemnomorskiej woli, aby zaangażować je w Afryce. Są tam bogate źródła paliw energetycznych, potrzebnych Europie zachodniej, a wzajemne stosunki gospodarcze rozwijają się od bardzo dawna. Poza wszystkim innym, kraje arabskie, albo szerzej – islamskie, stanowić mogą w XXI wieku największe zagrożenie dla Europy. Związanie Algierii czy Maroka z Unią być może rozładowałoby narastające napięcie między Europą a islamem. Takie względy powodowały, że niektóre kraje południowo-zachodnie bardziej domagały się wypuszczenia Tymoszenko, licząc że w ten sposób nie dopuszczą do porozumienia Unii z Ukrainą. Za wschodnim kierunkiem integracji opowiadały się kraje północne i wschodnie – i to politycy z tych państw przekonali Niemców, co dało nam jakąś przewagę. Ale taki wybór nie był i nie jest oczywisty dla wszystkich krajów członkowskich UE.

3. Perspektywa Polski

Dla nas to, co się dzieje na Ukrainie ma kluczowe znaczenie. W interesie Polski jest, aby Ukraina była w Unii Europejskiej. Nie tyle z racji przeszłości – choć Europa wraca do ukształtowanych przez stulecia układów – co z racji przyszłości.

Unia Europejska musi się poszerzać, a poszerzając się, musi stworzyć szczebel pośredni. Jak w Unii będzie 38 czy 40 państw, trudno będzie Unią zarządzać. To będzie ten sam kłopot, który miała I Rzeczpospolita, która była federacją siedemdziesięciu kilku ziem i województw. Na ich terenie rządziły sejmiki, które delegowały po dwóch posłów na Sejm. Sejm był władzą ponad królem i pilnował, aby władza wykonawcza była słaba. Skończyło to się upadkiem państwa, które nie potrafiło poradzić sobie z zagrożeniami zewnętrznymi. Podobnie jest z UE. Stąd ujawniająca się już konieczność tworzenie bloków regionalnych. Łączyć one będą suwerenne państwa o zbliżonych interesach. Ten proces zresztą już trwa. Jeden taki blok już powstał, obejmuje region nordycki (Szwecja, Dania, Norwegia, Finlandia). Obejmuje jedno państwo spoza Unii, ale to im wcale nie przeszkadza. Rozpoczęło się już formowanie bloku zachodnio-śródmorskiego. Prędzej czy później taką potrzebę zrozumieją społeczeństwa naszego regionu Międzymorza. Obecnie największą przeszkodą są stosunki polsko-litewskie, ale to zjawisko czasowe. Ważnym członkiem takiej organizacji regionalnej powinna być Ukraina. I to wcześniej, nim uzyska pełne członkostwo w UE, gdyż taka integracja regionalna przyspieszy znacznie europejską.

Współcześni polscy politycy wyrastają z Okrągłego Stołu i dlatego są przekonani, że zmian na Ukrainie można dokonać tak, jak w Polsce po 1989 roku, czyli stopniowo. I sugerują Ukraińcom: „Podzielcie to na etapy! Nie stawiajcie sprawy na ostrzu noża!”. Nie mam nic przeciwko taktyce dwu, trzy etapowej, ale powinna być realizowana ze świadomością ostatecznego celu. Konieczne jest pełne zrozumienie, że pierwszego etapu nie można traktować, jakby był ostatnim.

4. Perspektywa Janukowycza

Dla Janukowycza naciski Rosji były tylko wygodnym pretekstem do niepodpisania układu w Wilnie. Moim zdaniem prowadził on rozmowy zarówno z UE, jak z Rosją nieszczerze. Z jednej strony była to forma nacisku na Rosję. Dla Janukowycza głównym problemem są wybory prezydenckie na Ukrainie za dwa lata. Do niedawna miał prawo obawiać się, że jak wypuści Tymoszenkę, to ona wygra wybory prezydenckie – i wsadzi go do więzienia, ponieważ ustawa, która posłużyła do jej uwięzienia daje wystarczająco dużo pretekstów, żeby zamknąć każdego polityka. Co więcej, pozwala to utrzymać stan swoistej pół-dyktatury i swobody działań oligarchów. Z kolei związki z UE oznaczają ochronę przed uzależnieniem się od Moskwy i utrzymanie partnerskich stosunków z Rosją; Janukowycz chce zachować samodzielność, a nie być moskiewskim gubernatorem.

Stowarzyszenie z Unią otwiera Ukrainie bardzo dobre perspektywy na przyszłość, ale nie daje wielkich doraźnych korzyści. Na duże pieniądze z Unii Ukraina musi poczekać, aż będzie krajem członkowskim a to nastąpi dopiero za lata. Rosja daje Ukrainie znacznie mniej, bez porównania mniej, jej oferta oznacza dla Ukrainy regres, ale Rosja daje natychmiast. A Janukowyczowi potrzebne są pieniądze na najbliższe dwa lata, aby nastąpiła jakaś poprawa na Ukrainie i aby miał szansę na wygranie wyborów.

Ten zawyły poker nie powiódł się jednak. Gracz przedobrzył, a nie miał asa w rękawie. Janukowycz sam spowodował, że stracił wszystkie szanse wyborcze.

5. Gospodarzem sytuacji na Ukrainie jest naród

Czynnikiem decydującym na Ukrainie są Ukraińcy. Podobnie jak w 1989 roku okazało się, że o Polsce rozstrzygają Polacy. Tego faktu nie dostrzegli wówczas przywódcy PZPR, a obecnie klucz do rozumienia spraw Ukrainy pozostał poza wyobraźnią licznych analityków i komentatorów, w tym również – niestety – polskich. Bezpośrednio po decyzji Janukowycza o wstrzymaniu procedury traktatowej, któryś z wybitniejszych mentorów orzekł, że na taką zmianę Ukraina poczeka 300 lat. Okazało się, że na jej początek trzeba było czekać mniej, niż 30 godzin. Ciągłe nie chce się dostrzegać, że w ciągu minionych dwu-trzech dekad doszło do ogromnego skoku rozwojowego narodu ukraińskiego. I to rozumianego już nie jako populacja wyodrębniana przez cechy etniczne, tylko narodu pełnowymiarowego – połączonego poczuciem wspólnego losu. Jeśli nie dostrzeżemy gigantycznych skutków, jakie dało 22 lat istnienia niepodległej Ukrainy – nie zrozumiemy niczego. To prawda, że Ukraina nie radzi sobie sama z sobą, że brakuje jej polityków, zdolnych zmierzyć się z gigantycznymi wyzwaniami, że kiepsko gospodaruje, tonie w korupcji, z trudem uczy się demokracji. Po 200 latach niewoli, masowych zbrodni, ludobójczego głodu, masowych wywózek? U nas jest lepiej, to prawda – ale czy różnice są naprawdę tak wielkie?

Niezależnie od tego wszystkiego, od kulawej gospodarki, przekupności władzy, podziałów i jaskrawych nieraz różnic, Ukraińcy nauczyli się już być niepodległym narodem. To nie jest taki skok, jaki nastąpił w Polsce w dwudziestoleciu międzywojennym, ale wystarczająco wielki, aby masowo bronić

uzyskanej nareszcie wolności. A jeśli są fażę za nami, to nie z ich przecież winy.

Jak przed wiekami, Ukraina znów znalazła się między Wschodem i Zachodem. Łatwiej teraz widzi, co jest tu i tam. Widzą Europę, widzą Polskę. Masowe wyjazdy Ukraińców na zachód, chociażby do Polski, podpowiadają Ukraińcom, co mają robić. W Polsce też jest korupcja, ale rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Widzą, jak Polska się rozwija, jakie potężne inwestycje komunikacyjne, miejskie, mieszkaniowe są dokonywane. Widzą, co osiągnęli Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy. I porównują to z widocznym gołym okiem zastojem w Rosji. Jeżeli w Rosji jest jakiś rozwój, to w Moskwie czy Petersburgu. Ale Ukraińcy widzą przede wszystkim, co jest w Rostowie, Woroneżu, Saratowie, Wołgogradzie, Krasnodarze – zastój, bieda. Różnica jest uderzająca. Łatwo wyciągnąć wnioski. Jeśli się tylko chce, aby było lepiej. A granica tych, co chcą przesuwają się ustawicznie na wschód. Właśnie mijają Charków.

Mu mamy wspaniałe doświadczenie „Solidarności” – lecz i stanu wojennego. Ukraińcy mają wspaniałe doświadczenie Pomarańczowej Rewolucji – rozpylonej, marnowanej także przez jej przywódców. Poznali jednak smak zwycięstwa. To daje nową siłę. Może tym razem jeszcze się powiedzie, może na końcowy sukces trzeba będzie poczekać, ale weszli już na właściwą ścieżkę.

Ostatnie wydarzenia na Ukrainie wykreowały tam także nowego przywódcę. To Witalij Kliczko. Nagle pojawił się twardy facet, który się nie boi (a ma prawo się nie bać, bo w razie czego wyjedzie zagranicę i powie, że miał fajną przygodę). Może brakuje mu horyzontów, doświadczenia politycznego, umiejętności kierowniczych – ale ma to, czego brakuje większości polityków

europijskich, ukraińskich czy też polskich – wolę, determinację, stanowczość.

Janukowycz już przegrał tę grę. Może szukać nowych rozwiązań, aby ratować twarz, albo zachować prestiż. Może przestać grać, pójść za interesem Ukrainy. Zobaczymy, czy rzeczywiście ma aż dwa lata czasu. I jaki to będzie czas. Putin także przegrał – i to już dawno. Gonić za zwiądą przeszłości, wierzyć w istnienie utraconego imperium zawsze prowadzi do klęski!

My chyba najlepiej powinniśmy rozumieć, że o przyszłości Ukrainy zadecyduje sam naród ukraiński i jego nowy przywódca. Gdyby w Polsce w latach 80. nie doszło do masowych działań społecznych, komuna rządziłaby do dziś. A teraz w jedną niedzielę milion ludzi zbiera się wokół Majdanu. Trudno tego nie dostrzec.

6. Dalszy rozwój wypadków

Co może się teraz zdarzyć na Ukrainie? To nie jest taka sytuacja jak w 1981 roku – potężny Związek Sowiecki i słaba Polska. Wtedy trzeba było aż 10 lat, żeby – po wprowadzeniu stanu wojennego – przewrócić komunę. Jeżeli teraz spróbują na Ukrainie siłą opanować tę sytuację, to na krótko. I skończy to się znacznie gorzej dla tych, którzy to spróbują zrobić.

Nikt nie chce rozlewu krwi na Ukrainie. Ale być może nie uda się temu zapobiec, bo aktorzy bywają kiepscy. Nam się nie powiódł rok 1981 przede wszystkim dlatego, że kierownictwo „Solidarności” nie dorosło do sytuacji, która powstała. Nie wiedziało, co robić i pocieszało się sloganami. Nie chciano ani obalać PRL-u, ani zawierać kompromisowego porozumienia, które pozwoliłoby dużo ocalić. Na Ukrainie może być podobnie. Ale to nie odwróci procesu historycznego, który tam się toczy.

Powinno nam zależeć na tym, aby Ukraińcy wygrali jak najniższym kosztem, a ich zwycięstwo spajało kraje Międzymorza. I dlatego nasze zaangażowanie na Ukrainie trzeba ocenić wysoko. Na Majdan nie mogą obecnie pojechać przedstawiciele polskich władz, to delikatna sprawa. Muszą czekać na zaproszenie obu stron. Co innego politycy niepełniący funkcji państwowych. Wszyscy jednak powinni pamiętać, że to nie jest gra w karty, w pokera, między paroma politykami z groźnym wilkiem Putinem. Tutaj działają wielkie procesy społeczne, procesy geopolityczne. Politycy panują nad takimi procesami tylko tak długo, jak długo działają z nimi w zgodzie. A w tym konkretnym wypadku ten proces polega na tym, że to Ukraina sam się dźwiga. Może dozna jeszcze jednej czy dwóch porażek, ale po każdej takiej porażce będzie silniejsza i odważniejsza. Nie są to klęski, które ją złamią, ale porażki, które pobudzają chęć zwycięstwa. I w końcu to Ukraińcy zwyciężą!

Na naszych oczach kształtuje się **świadomość wspólnoty losu** **wszystkich Ukraińców**

Jest to kolejna rozmowa Mirosława Lewandowskiego z Leszkiem Moczulskim przeprowadzona 2 marca 2014 r. i stanowiąca kontynuację rozmowy z grudnia 2013 r. Tekst zamieszczony na portalu: www.geopolityka.net

Potwierdziło się to, o czym rozmawialiśmy na początku grudnia ub. roku, że zbiorowe działania ludzi rozstrzygną o przyszłości Ukrainy. Wyrazistym dowodem może być fakt, że porozumienie z 21 lutego 2014 roku podpisane przez trzech ministrów Unii i przez Janukowycza obowiązywało najwyżej kilkanaście godzin [chodzi o porozumienie z wynegocjowane w Kijowie przez ministrów spraw zagranicznych Trójkąta Weimarskiego: Radosława Sikorskiego, Franka-Waltera Steinmeiera i Laurenta Fabiusa – ML]. Formalnie można powiedzieć, że zerwał je Janukowycz, bo nie wykonując go uciekł – ale przecież nie dlatego uciekł, żeby go nie zrealizować, lecz ze strachu, że go ludzie złapią i postawią przed sądem. Porozumienie zostało w rzeczywistości obalone przez samych ludzi, przez Majdan. Zdecydowali Ukraińcy, a nie politycy.

Majdan zapewne nie reprezentował absolutnie całej Ukrainy. Był jednak niewątpliwie przedstawicielstwem większości obywateli, nie tylko tych żyjących w zachodniej i centralnej części kraju, ale również niemałej części rosyjskojęzycznych mieszkańców trzech wschodnich obwodów (obłasti). Teraz te proporcje uległy

zasadniczej zmianie wraz z rosyjską agresją. Polityczne podziały gwałtownie zredukowano, gdy zagrożony został wspólny interes narodowy.

Ukraina jest jednym z nielicznych krajów europejskich, w której nadal bardzo żywe są historyczne podziały terytorialne. Dają one o sobie mocniej znać, niż nawet niemieckie czy włoskie. Różne doświadczenia historyczne inaczej odcisnęły się na ludziach, zamieszkałych w poszczególnych częściach tego rozległego kraju. Najważniejszym skutkiem stało się zróżnicowanie tempa pełnego uzyskiwania świadomości narodowej.

Naród to przede wszystkim wspólnota losu. W ciągu ostatniego półtora stulecia rozumienie tej podstawowej zasady, działającej nieprzerwanie przez całą historię, zostało przysłonięte przez czasowy awans kryteriów etnicznych, najbardziej widocznych dla szerokich kręgów ówczesnych społeczeństw. Chodzi przede wszystkim o język, w mniejszym stopniu o religię. Okresowo powoływano się również na przynależność do innej grupy społecznej, ale to już szczęśliwie zanikło. Wszystkie narody europejskie, ukształtowane bezpośrednio po wędrówkach ludów V-VII stulecia, wyrosły z mniejszych czy większych mieszanek etnicznych. W przypadku Ukrainy zjawisko to występuje wyjątkowo silnie, a główne przyczyny są oczywiste. Przez stepy czarnomorskie prawie nieprzerwanie przysuwały się ludy wędrujące ze wschód na zachód, a każdy zostawiał tu trochę własnych genów. Niektóre migracje miały charakter otwarcie agresywny: atakowały rodzimą ludność, mieszkającą już poza granicą stepów.

Przez całą swoją historię Ukraina była rzeczywistym przedmurzem Europy, brała na siebie wszystkie ciosy, wychodzące ze wschodu. Osłabiana najazdami Pieczyngów i Połowców, Ruś Kijowska została zdruzgotana i wyludniona przez Mongołów w XIII-XIV wieku, co od końca XV do drugiej połowy XVII stulecia kontynuowali Tatarzy. Wyludniane ziemie były na nowo zasiedlane przez przybyszów z zewnątrz, do czego doszła masowa kolonizacja ziem stepowych w XIX i jeszcze w XX wieku. Wraz z utratą odrębnej państwowości w XVIII wieku doprowadziło to do sytuacji, że poczucie odrębnej wspólnoty losu zaczęło zanikać – naród ukraiński prawie przestał istnieć. Obroniła go garstka intelektualistów oraz wschodnio-galicyjski przyczółek odrodzenia narodowego.

Odmienne losy poszczególnych prowincji inaczej kształtowały ich mieszkańców. Główny podział wyodrębnił ziemie, ongiś stanowiące południową część Rusi Kijowskiej, czyli historyczną Ukrainę. Rozerwane pomiędzy Królestwo Polskie oraz Wielkie Księstwo Litewskie, połączone zostały w następstwie Unii Lubelskiej, tworzącej Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Wschodnie i południowe obszary współczesnej Ukrainy były wówczas bezludnymi stepami, na których koczowali Tatarzy – i realnie nie stanowiły części terytorium jakiegokolwiek państwa: ani Turcji, ani carstwa moskiewskiego, ani nikogo innego. Obszary położone na wschód od historycznej Ukrainy zostały zasiedlone z Ukrainy naddnieprzańskiej w XVIII w. jako Ukraina Słobodzka. Wiek później ziemie południowe, należące już wówczas do Rosji, zostały skolonizowane przez przybyszów z różnych stron, ale głównie Ukraińców. Krym zachował tatarski charakter etniczny aż do czasu, gdy cały ten naród Stalin przymusowo deportował do Azji Środkowej.

Ukraina historyczna dzieliła się również na dwa odrębne obszary; ta granica istnieje nadal, choć jest już mocno osłabiona. W toku średniowiecznej integracji politycznej tej części Europy, wywołanej zagrożeniem mongolskim, w Królestwie Kazimierza Wielkiego znalazły się dwie prowincje polskie (z istniejących pięciu – pozostałe to Mazowsze, Śląsk i Pomorze) oraz jedna ruska. W efekcie powstała monarchia jednolita politycznie, ale pluralistyczna wyznaniowo i etnicznie.

Był to pierwszy, a po połączeniu z Litwą jedyny w średniowieczu przypadek państwa, w którym obok siebie legalnie funkcjonowały dwie religie. System ten został ukształtowany wspólnym wysiłkiem panów polskich i ruskich; tak zapoczątkowana została tolerancja religijna, która początkowo objęła Rzeczpospolitą, a następnie całą Europę. Również system demokracji obywatelskiej, formujący się przez dwa stulecia na ziemiach Korony, był wspólnym dziełem. Dość przypomnieć, że z województwa bełzkiego pochodził Jan Zamoyski – *trybun ludu szlacheckiego*, co w warunkach wschodniej, agrarnej części Europy było synonimem klasy średniej. Prowadziło to zresztą do zacierania odrębności etnicznych.

Województwa zachodnie – ruskie, bełzkie i podolskie (poza drobnym skrawkiem nad Dniestrem, rozciągające się na wschód od Zbrucza), pozostały przy historycznej nazwie Rusi. Województwa leżące za Polesiem, *u kraja* rozległego państwa litewskiego, zaczęto nazywać ziemiami ukraińskimi, później Ukrainą. Zjednoczone przez sejm lubelski 1569 roku, szybko zaczęły się upodabniać. Polegało to zwłaszcza na przejmowaniu wolnościowego systemu obywatelskiego – i to nie tylko przez rodzimą szlachtę ukraińską, bo środowiskiem najbardziej

chłonnym okazali się kozacy. Na Siczy sejmikowano, wybierano i odwoływano atamanów, zbiorowo decydowano o wspólnych przedsięwzięciach, a starszyzna kozacka ubierała się w szlacheckie stroje – współcześnie bardziej popularne na Ukrainie, niż w Polsce. Dążenia kozackie, aby stopniowo pozyskiwać status szlachty zagrodowej (tak jak to było na Żmudzi, Podlasiu czy Mazowszu), były stopowane przez wielkich magnatów, głównie książąt wołyńskich. Doprowadziło to do buntów kozackich i powstania Chmielnickiego, a w następstwie do podziału Ukrainy. Na Zadnieprzu uformowała się Ukraina Hetmańska – państwo demokracji kozackiej. W końcu XVIII wieku została ona inkorporowana do imperium rosyjskiego, w tym samym czasie, gdy Rzeczpospolita została rozerwana przez trzech zaborców. Duch obywatelskich wolności, choć czasowo uśpiony, został jednak wszczepiony silniej, niż komukolwiek mogło się wydawać.

Dalsze podziały były wynikiem kolejnych wydarzeń politycznych. Rozbiory Rzeczypospolitej spowodowały, że najbardziej wysunięta na zachód część Rusi/Ukrainy znalazła się w monarchii Habsburgów. Z czasem stworzono we wschodniej Galicji silny ośrodek odrodzenia narodu ukraińskiego. Kolejne wojny i rewolucja w Rosji wysunęły jednak na plan pierwszy Kijów, lecz próba utworzenia państwa ukraińskiego załamała się pod naporem bolszewickiej Rosji.

Nadspodziewanie wielką rolę odegrał traktat ryski 1921 roku. Okazało się, że wytyczona wówczas granica, sztuczna zarówno geograficznie jak etnicznie, rozdzieliła dwa drastycznie odmienne losy. Na ziemiach, które znalazły się w granicach Rzeczypospolitej skonfliktowane narody nie potrafiły znaleźć wspólnego języka. Wiedziano, że istnieje problem, który należy rozwiązać, ale

zabrakło zarówno czasu, jak woli i politycznej wyobraźni. Po stronie sowieckiej podobny problem, choć występujący w znacznie większej skali, postanowiono zlikwidować raz na zawsze siłą. Po krótkim okresie ograniczonego samorządu, z wielkim trudem usiłującego funkcjonować w totalitarnym państwie, Ukraina stała się przedmiotem straszliwego terroru, który kilkakrotnie przechodził w masową eksterminację; po raz ostatni do masowego głodu doszło w końcu lat 40. Ludobójstwo, pozbawianie podstaw egzystencji przez tzw. rozkułaczenie, masowe wywózki pociągnęły za sobą śmierć czy wygnanie milionów osób, a przerażającą biedę i dławiący strach, jako element dnia codziennego pozostałych. Ukraińców pozbawiono wolności, sprowadzano do pogardzanych *chachłów*, temu jednemu z najstarszych narodów europejskich parweniusze moskiewscy ukradli nawet historię (Ruryk otwierał – nadal otwiera! – ciąg carów Rosji).

Odmienność sytuacji zapamiętano doskonale. Po jednej stronie granicy ryskiej ludzie mieli prawo krytykować, domagać się zmian swego narodowego położenia, żądać sprawiedliwości. I czynili to. Po drugiej stronie najdrobniejszy objaw nieposłuszeństwa wbijano butem w ziemię. Dla jednych sprzeciw, bunt był czymś naturalnym, dla drugich najsurowiej ściganą zbrodnią.

Takiej zróżnicowanej przeszłości nie miały ani Ukraina Słobodzka, ani ziemie nadczarnomorskie, zagarniane przez Rosję stopniowo w drugiej połowie XVIII wieku i poddawanie despotycznej władzy carskiej. W ciągu XIX wieku na tym obszarze osiedliła się żywołowo pewna ilość Rosjan, ale dopiero władza sowiecka rozpoczęła przymusową de-ukrainizację. Spowodowała ona m. in. daleko posuniętą zmianę charakteru narodowego Donbasu. Nic dziwnego, że procesy sowietyzacji były tutaj najszybsze. W czasach

sowieckich miejscowa ludność cierpiała tak, jak ogół mieszkańców ZSRS. Równie masowe jak w pozostałej części Ukrainy prześladowań, rzezie i planowe ludobójstwo traktowane były, jako część terroru ogólnosowieckiego, a nie wymierzonego szczególnie w Ukraińców.

Odrębnie potoczyły się wydarzenia na Krymie. Po eksterminacji i deportacji Tatarów, Sowieci usiłowali przymusowo przesiedlać tutaj chłopów z zachodniej Ukrainy, co się zresztą nie powiodło. Natomiast miasta południowego wybrzeża szybko nabrały charakteru rosyjskiego. Zaludniały ich głównie dwie grupy ludzi: zasłużeni emeryci średnio-wyższego szczebla administracji sowieckiej (nie każdy miał prawo tam zamieszkać) oraz zawodowa kadra i emeryci Floty Czarnomorskiej oraz pracującego na jej rzecz przemysłu.

Odzyskanie niepodległości w 1991 roku, co było – podobnie jak w 1918 roku – prawie wyłącznie dziełem dokonany przez mieszkańców historycznej Ukrainy, mogło wydawać się zabiegiem głównie formalnym. Prawie nie istniało poczucie wspólnego losu. Funkcjonowało ono co najwyżej w niektórych regionach. Najsilniej – jako kontynuacja – na ziemiach, które do 1939 roku były w Rzeczypospolitej. We wschodnich i południowych obwodach poczucie wspólnego losu z Rosją wydawało się silniejsze. Gdyby nie przerażający chaos i bezprawie, które tam panowało, jakaś część oderwałyby się zapewne od nowopowstającego państwa.

Patrząc w kategoriach etnicznych, sytuacja była jeszcze gorsza. Znacznie więcej niż połowa mieszkańców posługiwała się w domu językiem rosyjskim, wychowana była w rosyjsko-sowieckiej

kulturze. Ukraińskość była dla nich najwyżej folklorem, strojem i przyśpiewkami dla zespołów amatorskich. Tylko w ściślejszej Ukrainie zachodniej, za Zbruczem, język rosyjski traktowano jako obcy. W całym kraju szkoły uczyły języka rosyjskiego jako własnego, a gdy zaczęto wprowadzać ukraiński – nauczano go jako obcego, podobnie do angielskiego czy niemieckiego. Nawet mówiąc tym samym językiem, ludzie z różnych okolic nie rozumieli się nawzajem. We wschodniej, a nawet środkowej Ukrainie bojowników walczących z Sowietami o niepodległość swego kraju traktowano jak nazistów, hitlerowskich zbrodniarzy. To prawda, że nie brakowało wśród nich fanatycznych nacjonalistów, że niektórzy (bo przecież nie wszyscy) dopuszczali się czynów straszliwych i haniebnych. Lecz podobnych nacjonalistów nie brakowało również w Polsce, w Czechach, w Niemczech, również w sowieckiej Rosji. Taki był okrutny klimat czasu. Nie wolno zrównywać z nimi ludzi, którzy domagali się wolności.

Taki był punkt narodowego startu Ukrainy. I nagle własna państwowość zaczęła czynić cuda. Ukraina była nieporadna politycznie, źle rządzona, kiepsko gospodarująca, skorumpowana, często niesprawiedliwa wobec własnych obywateli. Ale była – tworzyła zrąb rusztowania, które pozwalało budować wspólne poczucie odrębnego losu. Mówiono różnymi językami, jeszcze na ulicach miast dominował rosyjski – ale tożsamość ukraińska rosła z roku ma rok. Głęboka świadomość narodowa, a nie płytką etniczną. Przebiegało to niemalże niedostrzegalnie, ale raz po raz zaskakiwały nagromadzone efekty. Coraz powszechniejszemu poczuciu wspólnego losu – samookreślaniu tożsamości ukraińskiej, zaczęło towarzyszyć zrozumienie, że za ten los sami Ukraińcy ponoszą odpowiedzialność. Pomarańczowa rewolucja pokazała, że potrafią ją wziąć na swe barki i narzucić rządzącym

decyzję. Jednoczący się naród ujawnił swoją siłę i poznał smak zwycięstwa. Polityczne skutki były jeszcze rozczarowujące. Brak rzeczywistej elity (co we współczesnej Europie jest zjawiskiem dość typowym) oraz niedojrzałość klasy politycznej prowadziły do sporów ambicjonalnych oraz konfliktów doraźnych interesów. Wywołany tym kryzys dotyczył już jednak innej Ukrainy. Naród okrzepł, poczucie wspólnego – ale własnego, odrębnego losu nasyciło mocno jeśli nie świadomość, to zbiorową podświadomość ukraińską. Podziały występowały nadal. Językowe łagodniały – wszak przez całą swoją historię Ukraińcy byli społecznością wieloetniczną. Na plan pierwszy wybijać zaczęły się różnice polityczne.

Nie bez powodu. Bo Ukraina stanęła przed koniecznością dokonania wyboru, który mógł rozstrzygnąć o jej losie na następne pokolenia. W dodatku, inaczej niż zasiedziałe w uprawianiu demokratycznych procedur państwa zachodnioeuropejskie, nie dysponowała dostatecznie wykształconym instrumentem, który mógłby rozstrzygnąć zgodnie w wolą większości narodu. Ponieważ Ukraina nie mogła i nie chciała zgodzić się na rolę wahań, poruszanego przez niezidentyfikowane moce, pozostawała alternatywa: uczestniczymy w integracji europejskiej albo eurazjatyckiej. Drugie rozwiązanie mogło dać spore doraźne korzyści, pierwsze przynosiło ich więcej, lecz w znacznie dłuższej perspektywie. Zwolennicy obu poglądów, jeśli głosili je uczciwie i zgodnie z własnymi przekonaniem, w równej mierze muszą być uznani za patriotów, troszczących się o los ojczyzny. O patriotyzmie nie decyduje bowiem słuszność wyboru (zależny od mądrości wybierającego), tylko zaangażowanie i poczucie odpowiedzialności. Wariant zachodni, bardziej zgodny z charakterem narodowym Ukrainy, cieszył się większym poparciem

– choć trudno dokładniej określić jakim. W każdym razie nie spotykał się z jakimś głośniejszym sprzeciwem czy to społecznym, czy też wychodzącym z kręgów biznesowo-gospodarczych.

Ingerencja Putina i zaskakująca zmiana orientacji Janukowicza, który w ostatniej chwili odmówił podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE, wywołało szok. Ludzie zebrani na Placu Niepodległości nazwali się Euromajdanem. Wola wiązania się z Zachodem była silna, lecz rządzący mieli ją za zero. Janukowicz złamał zasadę *nic o nas bez nas*, która – choć okresami silnie przytłumiona – co najmniej od pół tysiąca lat tkwi w świadomości ukraińskiej. Dojrzały naród, a takim stają się Ukraińcy po dwudziestu paru latach własnej państwowości, nie może się zgodzić, aby decydowano za niego.

Zwłaszcza, że rzeczywistym decydem okazał się dyktator sąsiedzkiego, ekspansywnego imperium. Zadufany i coraz bardziej niezręczny Putin zdemaskował wariant eurazjatycki: to powrót do ZSRR, dawnego więzienia ludów, tylko zarządzanego przez wąską grupkę wybranych oligarchów. Czym innym jest bliska współpraca, czym innym kolonialna zależność. Przeciwno takiej zależności wystąpili nie tylko zwolennicy opcji zachodniej. Podział polityczny społeczeństwa zaczął się zacierać, na plan pierwszy wybił się wspólny interes narodowy. Wbrew własnym intencjom, przyczyniła się do tego polityka rosyjska. Jak to zwykle bywa, zagrożenie z zewnątrz gwałtownie przyspiesza procesy integracji narodowej.

Jeśli parę dni po rozpoczęciu permanentnej manifestacji sprzeciwu mówiłem o wystąpieniu „ludu ukraińskiego”, to zdawałem sobie sprawę, że na Majdanie gromadzą się głównie

ludzie z historycznej Ukrainy. Ale głównie to nie znaczy wyłącznie. Ludzie, którzy głosowali na Partię Regionów i na Janukowycza w ogromnej większości nie pragnęli utraty własnego państwa, nie chcieli oddać Ukrainy Rosji. Po prostu uważali, że więzy z Rosją są ważne i korzystne, zwłaszcza współdziałanie ekonomiczne. Te argumenty, wyglądające całkiem poważnie jeszcze pół roku temu, nagle zostały zdemaskowane. Zadbał o to sam Putin. Opcje polityczne poszły w ką. Na Majdanie zaczęli gromadzić się wszyscy, a gdy *siły porządku* zaczęły strzelać, w obronie Majdanu ginęli również chłopcy ze wschodnich obwodów Ukrainy.

Co się dzieje dzisiaj, kiedy flagi rosyjskie wiszą nad Krymem? Jak reagują patrioci ukraińscy, którzy uważali, że Janukowycz ma rację, ale którzy nagle zauważyli, że Janukowycz odnalazł się w Rostowie i mówi po rosyjsku? Bo to jest co innego mówić przeciwko Ukraińcom przez moskiewską rozgłośnię, a co innego być rosyjskojęzycznym Ukraińcem!

Jeżeli dzisiaj mówię „naród ukraiński”, to mam na myśli ogromną przemianę, która nastąpiła – a może tylko ujawniła się w ciągu tych heroicznym zimowych miesięcy. Na widownię wkroczył uformowany, dojrzały naród ukraiński. Blisko ćwierć wieku trwał proces jego odradzania we własnym państwie. Dwadzieścia dwa lata temu języka ukraińskiego (co nie jest najważniejszym wyznacznikiem, choć bardzo charakterystycznym) nie można było usłyszeć na ulicach Kijowa. Dziś jest inaczej. Wyrosło nowe pokolenie Ukraińców, przeobraziły się pokolenia ich ojców i ich dziadków.

Dzisiaj widzimy, że również Ukraińcy mówiący po rosyjsku bronią Ukrainy. Podziały polityczne spadły na plan dalszy. Nie zostały zatarte różnice kulturowe, nawet cywilizacyjne – bo to wymaga pokoleń. Ale przestają rozrywać. Traci znaczenie jakim językiem w danej miejscowości mówi większość. Gdy opowiada się w gazetach czy telewizji, że Charków ma być z natury rosyjski, to mieszkańcy tej metropolii wschodniej Ukrainy wychodzą na ulicę, aby zaprotestować. W blisko milionowym Doniecku, gdzie większość ludzi mówi po rosyjsku, aby okupować siedzibę gubernatora, trzeba było autokarami dowozić manifestantów spoza bliskiej – i na oścież otwartej – rosyjskiej granicy. Jak się widzi w Symferopolu flagi rosyjskie, to dla rosyjskojęzycznych Ukraińców jest to tragedia.

Dzisiaj mamy więc taką sytuację, że, decyduje nie tylko Ukraina historyczna – ten rdzeń niepodległego państwa, ale już cała Ukraina zaczyna decydować. Jest tam na pewno wielu Rosjan, choć trudno powiedzieć ilu. Na Ukrainie mieszka dziś ok. 8-10 mln ludzi mówiących po rosyjsku. To dużo. Ale ogół mieszkańców Ukrainy obliczany jest na 45 milionów. Te 8 czy 10 milionów rosyjskojęzycznych obywateli mieści się gdzieś w przedziale 15-20% ludności Ukrainy. Jakaś część z nich, może nawet znaczna, uważa się za Rosjan – czuje wspólnotę losu właśnie z nimi. Wielu, coraz więcej ma paszporty rosyjskie. Jak ich określać? Może to wymierająca, ale przetrwała jeszcze wspólnota losu sowieckiego (dlatego bronią pomników Lenina), ale może to już rodzące się nowe poczucie wspólnoty losu razem z Rosjanami mieszkającymi w Rosji? Są rozsiani po całej Ukrainie. W najbardziej atrakcyjnych miejscowościach południowego Krymu niewątpliwi Rosjanie (czy raczej ludzie sowieccy) stanowią większość. Ale wewnątrz Krymu, na Krymie stepowym (a to jest większa część Krymu) już nie. Tam

większość stanowią Tatarzy krymscy oraz Ukraińcy. Tak zawsze bywa w państwach na obszarach wieloetnicznych, których świadomość narodowa jeszcze nie okrzepła.

Wszystkie chyba polskie gazety przedrukowywały mapki, ukazujące, jak głosowano w ostatnich wyborach prezydenckich. Na Janukowycza 10 obwodów (w 3 przygniatająca większość), na Tymoszenko 16 (w 6 przygniatająca większość). To już historia, a ostry kontrast pomiędzy czerwonym a niebieskim myli. Ogromna większość ludzi, którzy głosowali na byłego prezydenta pragnie zarówno niepodległej, jak całej terytorialnie Ukrainy. Co więcej, z dnia na dzień staje się coraz bardziej antyrosyjska, tym bardziej zajadle, że czuje się oszukana. To zupełnie nowy, błękitno-żółty obraz Ukrainy.

W dłuższej perspektywie, takie poczucie świadomości narodowej Ukraińców będzie się umacniać. Taki przebieg procesu jest już przesądzony. Nie tylko dlatego, że Ukraińcy są gospodarzem własnego kraju. Po prostu we współczesnej Europie nie ma innych rozwiązań. Warunki zewnętrzne, w tym cywilizacyjne i kulturowe sprzyjają Ukrainie.

W XIX-wiecznej Europie ruchy wyzwolenicze mogły być dławione siłą. Także w pierwszej połowie XX wieku, w okresie międzywojennym, w Europie wszelkie trudne kwestie można było rozstrzygać siłą militarną. W tym krótkim okresie, przy znacznie mniejszej ilości państw niż dzisiaj, doszło do ponad dwadzieścia przewrotów politycznych, których głównym narzędziem było wojsko. Kilka krajów stanęło na krawędzi wojny domowej, taka mordownia przyniosła Hiszpanii bardziej krwawe straty, niż II wojna światowa większości państw zachodnioeuropejskich. Siłą

czy groźbą jej użycia doprowadzono do likwidacji, aneksji, rozbiorów czy utraty części terytorium dziesięciu państw. W drugiej połowie XX wieku takie zmiany były już niemożliwe. Usztywniał to podział na dwa bloki, ale przede wszystkim, przynajmniej w zachodniej Europie, udział ludzi, udział społeczeństw w rządzeniu był większy i rządy musiały bardziej się z tym liczyć. Państwa satelickie wschodniej Europy zostały całkowicie podporządkowane władztwu sowieckiemu, ale Moskwa nie była w stanie ich zlikwidować ani podzielić. Ostatecznie, poczynając od Polski, wszystkie – w tym Ukraina – wyrwały się z niewoli. Dokonały tego własnym wysiłkiem. Pomoc ze strony wolnego świata występowała, ale była ograniczona. Rozpad strukturalny wschodniego obozu napawał nawet niepokojem. Latem 1991 roku prezydent USA przybył, aby ratować ZSRR przed rozpadem. Przemawiając 1 sierpnia w Kijowie na sesji Rady Najwyższej Ukraińskiej SRR, zapewniał: *„Wasza przyszłość leży w ZSRR – nowym, lepszym, demokratycznym...”* Trzy tygodnie później ta sama Rada Najwyższa ogłosiła niepodległość Ukrainy.

Jakże inny jest dzisiejszy świat. Z mniejszą czy większą, lecz nieprzerwanie rosnącą determinacją, USA, kraje UE, Chiny i liczne inne państwa opowiadają się, a nawet czynnie angażują po stronie Ukrainy. Szykowana jest gigantyczna pomoc ekonomiczna. Z pewną zazdrością możemy wspominać, że nam ani w 1918, ani w 1989 roku takiej pomocy nikt nie udzielił.

Dążeniem, a często tylko marzeniem wielkich polityków jest, aby podjęte przez nich działania trafiły w sprzyjający moment. Ukraina trafiła – szczęśliwie także dla nas, ale i dla reszty Europy. Sprawy jednak, jak zawsze, trochę się komplikują. Niepokoją was wiadomości dnia? Proszę przypomnieć sobie, jak wielcy

komentatorzy polityki światowej zastanawiali się, czy i co można zrobić, aby wybitny aktor sceny europejskiej prezydent Wiktor Fedorowicz Janukowycz nie odcinał się aż tak absolutnie od związków z integracją europejską. Trudno uwierzyć, że to było niespełna cztery miesiące temu.

Czy może dojść do **„drugiego Monachium”?**

Jest to kolejna rozmowa Mirosława Lewandowskiego z Leszkiem Moczulskim tym razem dla portalu www.teologiapolityczna.pl z 2 marca 2014 r.

Putin działa metodami Hitlera. On najwyraźniej je zna i na nich się wzoruje. Hitler zawsze rozpoczynał działania na progu weekendu. Dwa działania Hitlera: remilitaryzacja Nadrenii [7 marca 1936 roku, sobota – ML] oraz Anschluss Austrii [12-13 marca 1938 roku, sobota-niedziela – ML], na których Putin teraz się wzoruje, rozpoczynały się w nocy z piątku na sobotę, w praktyce z pewnym opóźnieniem. Hitler wybierał taki termin, gdyż wiedział, że podczas weekendu demokratyczne rządy nie działają. Podobnie robi Putin: agresja na Krym rozpoczęła się formalnie w sobotę, 1 marca 2014 roku, faktycznie pierwsze oddziały lądowały już w piątek wieczorem...

Drugie podobieństwo, to sposób uzasadnienia kolejnych zdobyczy. Otóż Hitler nie uzasadniał ich chęcią pozyskiwania nowych terytoriów, tylko koniecznością, ujętą w hasłach: „Idę na pomoc moim rodakom” czy „Bezpieczeństwo Rzeszy tego wymaga”. Podobnie robi Putin.

Ale są różnice. Gdy Wehrmacht wkraczał do Nadrenii, to witały ich tłumy. Podobnie było, gdy kolumny niemieckie maszerowały przez Austrię. Skala entuzjazmu zaskoczyła nawet Hitlera. Decydując się na militarną interwencję, Hitler chciał, aby władzę

w Austrii przejęli naziści, co otwierało drogę do późniejszego Anschlussu. Witające tłumy w Linzu, radujące się ze zjednoczenia obu państw niemieckich, spowodowały zmianę decyzji Hitlera. Gdy przybył z Wiednia Seyss-Inquart, nowy kanclerz Austrii i szef NSDAP w tym kraju, z gotowym do podpisu traktatem sojuszniczym obu państw, Hitler powiadomił go o zmianie planów: Anschluss następuje natychmiast.

W przypadku Putina, taka masowa akceptacja nie następuje: większość rosyjskojęzycznej ludności w miastach Krymu, jeśli nawet akceptuje zmianę, pozostaje bierna. Na ulice wychodzą jedynie zorganizowane grupy, które szybko muszą zostać wsparte przez żołnierzy rosyjskich. Żądania niemieckie eskalowały w toku wydarzeń. Rosyjskie ulegają minimalizacji. Uchwała rosyjskiej Rady Federacji dotyczy wprowadzenie wojsk na Ukrainę. Rosjanie interweniują jednak tylko na Krymie – i to pod swoimi flagami. Później pojawiają się kolejno: ochrona praw ludności, aby wybrała, w jakim państwie pragnie żyć; ochrona rosyjskojęzycznej ludności autonomicznej republiki; wyjaśnianie, że to działają nie oddziały rosyjskie, tylko grupy samoobrony.

Druga różnica ma inny charakter. Na tle Putina, Hitler jawi się jako polityk ostrożny. Oddziały wkraczające do Nadrenii w każdej chwili mogą być zatrzymane: rozkaz ataku na Polskę Hitler podjął dopiero po zakończeniu tajnych negocjacji i pozyskaniu czynnego poparcia Związku Sowieckiego; miał nadzieję, że powstrzyma to Wielką Brytanie i Francję przed przystąpieniem do wojny [stąd manifestacyjne podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku – ML].

Putin nawet nie próbował uzyskać czyjegokolwiek poparcia ani przed wkroczeniem na Krym, ani później. Działa tak, jakby Rosja i Ukraina były izolowane. Nawet najostrzej krytykując awanturnictwo polityki Hitlera – która doprowadziła Niemcy do najstraszliwszej w ich dziejach klęski, trudno zaprzeczyć, że Hitler nigdy w takim stopniu nie lekceważył innych państw oraz trwającego w danym momencie światowego układu sił. Putin działa jak człowiek nieprzytomny. Jest przekonany, że skoro Breżniew mógł interweniować zbrojnie w Czechosłowacji i wymusić stan wojenny w Polsce, to on może spokojnie zająć Krym.

Niektórzy obawiają się, że może obecnie dojść do „nowego Monachium” [międzynarodowa konferencja we wrześniu 1938 roku, na której premierzy: Wielkiej Brytanii – Neville Chamberlain, Francji – Edouard Daladier, Włoch – Benito Mussolini oraz kanclerz Rzeszy – Hitler zaakceptowali przekazanie Niemcom tzw. Sudetenlandu na drodze pokojowej – ML].

Przypomnijmy najpierw, w jakich warunkach doszło do konferencji w Monachium. Oba mocarstwa zachodnie, po kilkunastoletnim okresie samo-rozbrajania się (w Wielkiej Brytanii świadomego, we Francji wymuszanego różnymi trudnościami) nie były w stanie podjąć walki z potężnym już Wehrmachtem. Decyzja w istocie spoczywała w rękach Londynu. Chamberlain, który przejął kierownictwo rządu na wiosnę 1937 roku, zastał kraj prawie całkowicie rozbrojony. Nie istniały wojska operacyjne, zdolne do działań na kontynencie; lotnictwo było wyposażone w samoloty z lat dwudziestych; marynarka wojenna była w stanie kontrolować tylko dwa z trzech akwenów

strategicznych (Daleki Wschód; Morze Śródziemne i północny Atlantyk; Wyspy Brytyjskie). Po okresie decyzji i opracowywania planów, z końcem 1937 roku rozpoczęła się odbudowa sił zbrojnych, a choć tempo zbrojeń było bardzo szybkie i prześcignęło niemieckie, dopiero wiosną 1939 roku osiągnięto poziom, zapewniający bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii.

Ta przemiana sytuacji strategicznej pozwoliła Londynowi całkowicie zmienić realizowaną politykę. W początku 1938 roku Chamberlain doskonale zdawał sobie sprawę (pisał o tym w prywatnych listach), że głównym zagrożeniem dla Europy jest Hitler, a sytuację pogarsza fakt, że Stalinowi zależy na sprowokowaniu wojny. W warunkach rozbrojenia Wielkiej Brytanii i słabości Francji, już wczesną wiosną 1938 roku podjął decyzję, że w istniejącej sytuacji do wojny nie można dopuścić. Stąd polityka zyskiwania na czasie. Tym bardziej, że Czechosłowacja była nie do uratowania. Niemcy zakładali, że są w stanie zająć ją w ciągu 4 dni (przygotowany w grudniu 1937 roku plan ówczesnego pułkownika Jodla, za który Hitler awansował go na generała). W takim czasie państwa zachodnie zdążyłyby jedynie ogłosić mobilizację – i nic więcej.

Gdy we wrześniu 1938 roku okazało się, że Hitler usiłuje sprowokować wojnę, Brytyjczycy musieli się cofnąć. Po wstępnym ustaleniu zasięgu żądań Berlina do terytorium o przytłaczającej przewadze ludności niemieckiej, Brytyjczycy uzyskali zgodę Czechów. Wówczas Hitler odrzucił kompromis, ogłosił, że jeśli do końca września Praga nie skapituluje, uderzy zbrojnie. Wówczas całe Czechy, a nie tylko Sudetenland, byłyby jego. W takiej sytuacji doszło do konferencji monachijskiej, zainspirowanej przez

Londyn, a formalnie przedstawionej przez Mussoliniego. Zaangażowanie Włoch przesądziło, że Hitler musiał się zgodzić.

Do Monachium doszło nie dlatego, że przywódcy Zachodu byli pacyfistami (choć zwłaszcza wśród francuskich polityków ich nie brakowało – poczynając od ministra spraw zagranicznych Bonneta) – lecz dlatego, że gdyby wtedy doszło do wojny, to klęska Zachodu wydawała się nieuchronna. Druga wojna światowa, nim rozpoczęłaby się na dobre, została wygrana przez Hitlera.

Zwróćmy uwagę na parę faktów. Na wiosnę 1938 roku Brytyjczycy mieli tylko dwa dywizjony nowoczesnych myśliwców (czyli ok. 20 samolotów). Polska była przy nich powietrzną potęgą. Dokładnie rok później dysponowali lotnictwem myśliwskim, wystarczającym do obrony Wielkiej Brytanii i zakończyli budowę pasa stacji radarowych od Szkocji po kanał La Manche. Oczywiście nie była to obrona na tyle szczelna, aby nie dopuścić żadnych obcych samolotów nad własne terytorium – w czasie II wojny światowej żadne państwo nie miało takiej obrony przeciwlotniczej – lecz wystarczająca, aby chronić własne obiekty strategiczne i zadać przeciwnikowi straty, pozbawiające go możliwość kontynuowania ataku. Rządzona przez Front Ludowy Francja jeszcze do wiosny 1938 roku większą część produkcji samolotów myśliwskich potajemnie przekazywała republikańskiej Hiszpanii [gdzie w latach 1936-1939 trwała wojna domowa – ML]. Dopiero po Anchlussie Paryż wstrzymał ten proceder. Pierwszym efektem Monachium stało się natomiast udzielenie przez parlament premierowi Daladierowi niemalże dyktatorskich pełnomocnictwą celem odbudowy siły militarnej. Dlatego Zachód musiał ustąpić – przy pełnej świadomości premiera Chamberlaina, że Hitler

szykuje się do podboju Europy i że musi zostać zatrzymany. Co nie przeszkadzało, że politycy – podobnie jak dzisiaj, mieli pełne gęby frazesów pokojowych.

Powtórzmy: Monachium nie zostało spowodowane tym, że Zachód uznał słusność argumentów Hitlera, lecz było wynikiem bezbronności Zachodu, ujawnioną w sytuacji przymusowej. Co nie oznacza, że polityka mocarstw zachodnich była najlepszą z możliwych. Przywódcy, zwłaszcza francuscy, popełnili wiele błędów – lecz nie zmienia to charakteru istniejącej wówczas sytuacji.

Dzisiaj stan rzeczy jest zupełnie inny. Wprawdzie politycy krajów UE i NATO również znaleźli się w sytuacji przymusowej, lecz wszystkie wydarzenia, a także nacisk opinii publicznej zmuszają ich nie do ustępstw, tylko do aktywnych, stanowczych działań przeciwko agresorowi – putinowskiej Rosji. Chodzi nie tylko o Ukrainę, lecz przede wszystkim o zachowanie ładu międzynarodowego, rozwijającego się w Europie od ćwierćwiecza.

Krajom Zachodu – w tym Polsce, państwom bałtyckim czy Turcji nic nie grozi. A na pewno ani czołgi rosyjskie, ani bomby atomowe. Militarnie NATO jest wystarczająco silne, aby Rosjan w każdej chwili powstrzymać. Przewaga gospodarcza UE, wsparta jeszcze przez USA, jest wielokrotna. Rosja nie dysponuje siłą ideologii, która kiedyś mogła trafiać do wielu ludzi na świecie. Układ sił nie jest nawet odwrotnością Monachium. Wówczas równowaga została naruszona na niekorzyść Zachodu, ale mocarstwa demokratyczne były w stanie względnie szybko przywrócić swoją przewagę. Dzisiaj stosunek sił przytłacza. Rosja

jest tylko żalonym cieniem dawnej potęgi sowieckiej. Przyjmując największe ryzyko, była zdolna okupować niebroniony Krym, ale zatrzymała się przed Donieckiem czy Ługańskiem. Jest to awanturnictwo karła, bardzo dla niego groźne – lecz na nic większego Putina nie stać. Dzisiaj pozwala sobie tylko na śmieszne kłamstewka, że Krym okupują nie wojska rosyjskie, tylko miejscowe siły samoobrony, ludzie, którzy mundury i broń kupili na wyprzedaży w komisie. Stalin też kłamał – ale były to kłamstwa groźne, często straszliwe. Kłamstwa Putina są jedynie śmieszne. Politycy zachodni nie mają najmniejszego powodu, aby bać się Rosji. Działania Putina uderzają w ich prestiż, wystawiają na próbę jako mężów stanu. Każdy pozorny sukcesik Rosji ma tylko jeden skutek: utwardza i zaostrza sprzeciw.

To prawda, że ciągle możemy obserwować naiwność Zachodu wobec Rosjan. Demaskuje ją energicznie sam Putin. Nie mając w ręku siły, ani przekonywujących argumentów, opowiada bajeczki, które politykę rosyjską sprowadzają do absurdu. W ciągu paru ostatnich miesięcy naiwne przekonanie, że Rosja może być rzetelnym i wiarygodnym partnerem, rozmontował sam Putin. Nieszczęście Rosji polega nie tylko na tym, że jej przywódca wpędził ją w niewątpliwą klęskę; aby z niej wyjść, Putin podejmuje działania, które ją tylko pogarszają, a przy okazji niszczy wszystkie swoje atuty. Płaci za to drogo – ale płacił będzie długo również jego następca. Oczywiście, jakieś przejawy naiwności Zachodu wobec Putina będziemy dalej obserwować, ale to nie będzie taka naiwność, że Zachód powie – „Putin ma rację!”.

Nie dostrzega się jeszcze jednej, bardzo istotnej różnicy pomiędzy czasem Monachium a obecnym. Wówczas, dwadzieścia lat po

straszliwej wzajemnej rzezi Europejczyków, wszyscy pragnęli pokoju. Wracających z Monachium premierów witały entuzjastyczne tłumy. Dzisiaj – dzięki technicznym środkom masowego przekazu, opinia publiczna organizuje się szybciej i pełniej, a jej presja na rządzących jest bez porównania większa.

Przypomnijmy, że wojnę wietnamską USA przegrało we własnej telewizji. Dzień w dzień pokazywano straszliwe sceny na ekranach domowych – i Amerykanie mieli wreszcie dość tego. Teraz mamy czołgi, helikoptery, strzelaniny na Krymie. A wcześniej płonący Kijów. Były to głównie ogniska i płonące opony, ale na zdjęciach telewizyjnych wyglądało, jakby Kijów płonął. Tak też było to odbierane przez setki milionów telewidzów. To było przygotowanie. A potem wjechały czołgi rosyjskie.

Cóż teraz przywódcy Zachodu mogą powiedzieć własnym obywatelom, karmionym wcześniej takimi obrazami? Czy to, że Putin miał rację, gdy złamał kartę ONZ, protokół budapeszteński z 1994 roku, prawo międzynarodowe?

Po rozmaitych kłopotach, niepowodzeniach w Iraku i Afganistanie, po obniżeniu prestiżu międzynarodowego USA – Waszyngton może dzisiaj, i to bez żadnego ryzyka, pokazać światu, że jest mocarstwem globalnym, zdolnym zastopować wszystko, co narusza pokojowy ład międzynarodowy. Politycy europejscy, też bez najmniejszego ryzyka mogą wystąpić – 10 tygodni przed wyborami w UE – jako stanowczy, odważni, skuteczni mężowie stanu. Taka okazja zdarza się rzadko. W minionym stuleciu ani razu.

Dlatego nie ma dzisiaj ryzyka, że dojdzie do „drugiego Monachium”.

Rosyjska wydmuszka

Jest to artykuł Leszka Moczulskiego z 18 marca 2014 r., który został opublikowany na stronie internetowej dziennika „Rzeczpospolita” pod adresem: www.rp.pl/artykul/1095012.html. Notował: Mirosław Lewandowski.

Rosja z wielkim wysiłkiem, stosując różne działania polityczne (tajne rozmowy, obietnice, pod koniec chyba nawet brutalne naciski ekonomiczne i polityczne na ówczesnego prezydenta Wiktora Janukowycza), dążyła do tego, aby Ukraina pozostała z nią w jakiegoś rodzaju związku międzypaństwowym. Gdy już się wydawało, że działania Władimira Putina odniosły skutek, przeciw narodowi ukraińskiego ten sukces przekreślił. Dzisiaj już nie może być mowy o udziale Ukrainy w jakimkolwiek związku z Rosją, chyba że miałyby to być okupowana Ukraina z rządem satelickim. Nie może już być mowy, aby jakikolwiek rząd w Kijowie zgodził się na porozumienie, które uzależniałoby Ukrainę od Rosji. Powód jest prosty: nie zgodzą się na to Ukraińcy. Decydujący stał się wielki ruch społeczny, reprezentujący z pewnością nie wszystkich, ale jednak większość Ukraińców. Marzenie Putina, że Ukraina znajdzie się w unii celnej kierowanej przez Moskwę, należy więc już do przeszłości.

Osobista klęska Putina

Stawia go to w bardzo trudnej sytuacji. To jego osobista klęska. Putinowi udało się uporządkować Rosję przy zastosowaniu półtotalitarnych metod. Wprawdzie nie zlikwidował korupcji ani nie urządził poprawnie państwa, lecz władza spokojnie rządzi, a

ludzie jej słuchają. Putin osiągnął sukcesy w polityce zagranicznej. Umacniał pozycję Rosji, która weszła do grupy najbogatszych państw świata G8, sam też był dobrze przyjmowany na całym świecie. Nie przyniosło to co prawda Rosji większych realnych korzyści, ale Rosjanom dawało poczucie, że ich kraj znowu staje się mocarstwem.

Ale w kluczowych sprawach Putin nie odnotował sukcesów. Nie udało się mu zjednoczyć Rosji, która jest rozrywana przez regionalizmy. Cały obszar przedkaukaski (między Kaukazem a Donem – tzw. obszary rosyjsko-kozackie) jest związany z Rosją tylko dlatego, że bez Rosji oni nie utrzymaliby w posłuchu ludów Kaukazu, z którymi są w stałym konflikcie. Działają ich własne, partykularne interesy. Własne, partykularne interesy ma Daleki Wschód, wschodnia Syberia, tak samo Petersburg, Kaliningrad...

Na swoje konto Putin może zapisać również poważne niepowodzenia strukturalno-gospodarcze. W ciągu ostatnich 20 lat Rosja przestała być mocarstwem przemysłowym. W ubiegłym roku ponad 70 proc. wpływów z eksportu rosyjskiego dawała sprzedaż ropy naftowej i gazu ziemnego. To oznacza, że wszystko inne (przemysł, górnictwo, rolnictwo) przynosi Rosji tylko ok. 1/4 przychodu z eksportu. Struktura handlu zagranicznego Rosji upodobniła ją do republiki bananowej – Rosja żyje tylko z płynnych i gazowych surowców energetycznych.

Na dodatek nagle się okazało, że Rosja, która rzekomo jest mocarstwem, straciła Ukrainę. Okazało się również, że przywódca Rosji, który – wydawało się – był szanowany w polityce zagranicznej, poniósł spektakularną klęskę na arenie międzynarodowej. Przede wszystkim stracił wiarygodność – wypracowywaną latami w wielkim trudzie. Zza maski spokojnego,

lecz stanowczego męża stanu wyjrzał znerwicowany, szarpany emocjami despota. Rangę kłeski sam wyolbrzymił, nadając pozyskaniu Ukrainy do unii celnej czy eurazjatyckiej najwyższy wymiar. Przy każdej okazji podkreślał, że związek z Ukrainą jest Rosji niezbędny, że w znacznej mierze decyduje o jej planach imperialnych. Był święcie przekonany, że Kijów jest już jego. A tu nagle jacyś ludzie, którzy całą zimę przetrwali na Majdanie, wysuwając jakieś nierealne żądania, ukradli mu Ukrainę. I gardło ścisnął mu strach. Po takiej kłesce Putin może się obawiać, że jego prezydentura jest zagrożona.

Czując, że jego przywództwo w Rosji jest niepewne, Putin zachowuje się jak szuler w czasie gry w karty. Przegrywając, zaczyna podbijać stawkę, posługując się prawdziwymi i fałszywymi żetonami. Ale nie jest w stanie wygrać, za mało ma tych żetonów i za słabe karty. Podbijając stawkę, powoduje, że jego sytuacja staje się coraz trudniejsza. Rozwoju wydarzeń na Ukrainie odwrócić już mu się nie uda.

Rzucić przeciwnika na kolana

Co teraz może zrobić? Na Krymie – wszystko, co zechce. Przez 15 minut. Bo każdy jego krok musi wywołać nieprzychylną reakcję Zachodu, za każdym razem ostrzejszą, nawet jeśli początkowo większość krajów zachodnich preferowała działania maksymalnie łagodne. Reakcja jednak być musi, gdyż Putin – jak słoń w składzie drogocennej porcelany – narusza zasady uważane dziś przez Zachód za święte, rujnuje ustabilizowany porządek europejsko-atlantyczny, szkodzi interesom licznych państw, a także boleśnie rani prestiż wpływowych polityków.

I rzecz najważniejsza: sprawa wyszła daleko poza Ukrainę. Zakwestionowany został bowiem porządek polityczny Europy, budowany przez ostatnie półwiecze. A na to UE nie może się zgodzić. Dla USA zaś – po latach kruszenia rangi mocarstwa globalnego – pojawiła się nadzwyczajna okazja: bez ryzyka rzucić Rosję na kolana. Barack Obama zrozumiał, że przejdzie do historii jako prezydent, który pokonał najgroźniejszego historycznego konkurenta.

Ale do rozwiązania obecnego kryzysu działania militarne Zachodu nie są konieczne. Ten konflikt ma już kształt militarny, choć wciąż nie jest to konflikt zbrojny (bo się nie strzela). Jest to pokojowa rywalizacja potencjałów wojennych. Aby nie dopuścić do przekształcenia działań militarnych w konflikt zbrojny i zmusić Rosję do wycofania się, wystarczy kontrakcja gospodarcza i dyplomatyczna.

Ronald Reagan nadał zimnej wojnie wymiar ekonomiczno-finansowy – i ZSRR pękł, gdyż nie był w stanie udźwignąć kosmicznego ciężaru wyścigu zbrojeń. Dzisiaj przez podobne działania, wzmocnione przez presję dyplomatyczną, można wymusić całkowite wycofanie się Rosjan z całego terytorium Ukrainy. Pod warunkiem jednak, że zostaną one podjęte na czas i dostatecznie stanowczo.

Demokratyczne kraje zachodnie, a wśród nich także wyróżniająca się Polska, mają do wyboru bogatą gamę środków. Na przykład ograniczone sankcje gospodarcze, takie jak embargo na niektóre technologie, zwłaszcza związane z rozwojem informatyki czy wydobywaniem ropy lub gazu. Zastosowanie tego rodzaju sankcji szybko rozłoży na łopatki te dziedziny gospodarki rosyjskiej, które zostaną nimi objęte. Można zawiesić istniejące porozumienia

gospodarcze, umowy handlowe, podjąć procedurę zawieszenia członkostwa Rosji w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Zważywszy na to, że handel zagraniczny z Rosją nie ma dla Zachodu większego znaczenia, jest on w stanie z niewielką szkodą dla siebie zawieszać czy blokować wybrane porozumienia ekonomiczne.

Nie chodzi tylko o działania państwowe. Doskonałym narzędziem jest wycofywanie walorów finansowych z Rosji, wstrzymywanie czy odraczanie inwestycji, zawieszanie wykonywania transakcji, przerywanie zaczętych rozmów, odraczanie czy odwoływanie wizyt.

W jedną stronę gaz, w drugą pieniądze

Można zadać spektakularny cios eksportowi rosyjskiej ropy i gazu. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że stałą rosyjską groźbą jest zakręcenie kurków. Już parę razy Rosja przerwała dostawy na parę dni, raz bodaj na tydzień. Przyzwyczailiśmy się więc wierzyć, że moskiewski szantaż to skuteczne narzędzie, którym Kreml może się posłużyć, kiedy tylko zechce. Jak gdyby Salvador zagroził, że wstrzyma eksport bananów – tylko w o wiele większej skali. Świetnie, tylko z czego będzie żył?

Rurociągi mają to do siebie, że ruch jest dwustronny. W jedną stronę płynie ropa lub gaz, w drugą – pieniądze. Te pieniądze są podstawą funkcjonowania Rosji. Wstrzymanie dostaw spowoduje u odbiorców czasowe trudności, ewentualnie konieczność zakupu surowca po nieco wyższej cenie. Większość krajów ma zresztą zapasy gazu na trzy miesiące. Na rynkach jest znaczna nadwyżka ropy naftowej. Łatwo można uruchomić eksport paliw płynnych z Iranu, który jest jednym z ich głównym producentów, potrzebuje

gotówki, a na dodatek porozumienie amerykańsko-irańskie staje się realne. Co jednak będzie, jeżeli na tydzień czy dwa zostanie wstrzymane przyjmowanie rosyjskiej ropy lub gazu? USA w ogóle nie ucierpią. W Europie Zachodniej wystąpią okresowe kłopoty – może przykre, ale niezbyt wielkie. Rosja zaś stanie na progu katastrofy finansowej. Do tego dojdzie gorzka świadomość, że Kreml nie dysponuje żadnym narzędziem, które może realnie zagrozić Europie.

Na początek wystarczy tylko ujawnić zagrożenie. Specjalnie tego nie ukrywając, można rozpocząć przygotowania, aby możliwie bezwstrząsowo przetrwać okres, w którym dostawy surowców energetycznych z Rosji zostaną wstrzymane czy ograniczone. Zresztą wszelkie działania zmierzające do dywersyfikacji dostaw są wskazane. Przykładowo, przyspieszenie prac końcowych nad budową gazoportu w Świnoujściu mieć będzie sporą wymowę polityczną. Działania gospodarcze powinny zostać uzupełnione środkami dyplomatycznymi.

Arsenał narzędzi do wywierania presji na Rosję jest olbrzymi. Jest jednak mało prawdopodobne, aby wszystkie najostrzejsze działania zostały zastosowane w ciągu kilku dni. Zachód może zdecydować się na stopniowe kroki. Nie doprowadzą one zapewne do natychmiastowej ewakuacji wojsk rosyjskich z Krymu. Z punktu widzenia interesów Ukrainy będzie to bolesne. Znacznie groźniejsze jednak będzie to dla Rosji. Im szybszy kryzys, im szybsza klęska – tym mniejsze koszty. Zachód bowiem będzie musiał systematycznie zwiększać skalę i zakres sankcji ekonomicznych – czyli działać krusząco. Jednorazowe potężne uderzenie ekonomiczne, zmuszając Rosję do natychmiastowego odwrótu politycznego, byłoby ciosem niszczącym, lecz

niepozabawiającym jej szansy na podniesienie się z upadku. Przy eskalacji powolnej gospodarka Rosji zostanie zniszczona od podstaw, bez szansy ratunku.

W tej wersji, niestety, wielką cenę zapłaci także gospodarka Ukrainy – chyba że na czas otrzyma wystarczającą pomoc. Trudno powiedzieć, czy przy dzisiejszym stanie nerwów rozumie to przegrany już Putin, ale z pewnością zdają sobie z tego sprawę szefowie gospodarki i niektórzy kremlowscy politycy. I nie będą się godzili na zbiorowe samobójstwo.

Niepodległość Ukrainy przesądzona

Trudno powiedzieć, kiedy sytuacja na Ukrainie wróci do normy. Niektóre sprawy mogą się długo ślimaczyć. Pewne kwestie są już jednak rozstrzygnięte. O ile pół roku temu można było rozważać sytuację, że jakieś tereny ukraińskie przejmie Rosja albo że Ukraina zostanie przekształcona w konfederację trzech lub czterech na wpół samodzielnych prowincji, o tyle obecnie nie ma i być nie może na to zgody – ani Ukraińców, ani społeczności międzynarodowej. Jedynym rozwiązaniem, które jest do przyjęcia, pozostaje wycofanie wojsk rosyjskich i przywrócenie jedności Ukrainy. Niepodległość i integralność terytorialna tego kraju jest już więc przesądzona. Podobnie jak klęska Rosji. Tę klęskę niedoszłego imperium zauważą wszyscy sąsiedzi. Rosja gwałtownie utraci swój mocarstwowy autorytet.

Będzie to dość zabawnie wyglądało w Polsce. Od 15 lat jesteśmy karmieni opowieściami o potędze i wpływach Rosji. Cała propaganda współgra z tym, czego znaczna część polskiego społeczeństwa nauczyła się w szkołach i na uniwersytetach w czasach PRL i później. Mówi się uczenie w telewizji, że Ukraina

wobec Rosji jest bezbronna. A tu nagle okazuje się, że Rosja z Ukrainą sobie nie poradziła. Jeszcze trochę i okaże się, że ten mroczny cień po imperium Lenina-Stalina, usiłujący kosztem własnego społeczeństwa odbudować superpotęgę rosyjską, to tylko pusta w środku wydmuszka.

Marzenia w Rosji

nazywają się geopolityką

Jest to wywiad, jakiego Leszek Moczulski udzielił dla kwartalnika Fronda LUX (numerr 73/2014), przedrukowany następnie na stronie internetowej www.fronda.pl. Rozmawiali: Marek Rodzik, Marcin Furdyna.

W publicystyce bardzo często pojawiają się opinie, że dzisiejszy kryzys ukraiński przypomina sytuację z końca lat trzydziestych. Padały m. in. sformułowania, że realna jest perspektywa „nowego Monachium” – porozumienia się Zachodu z Rosją kosztem interesów ukraińskich. Czy istnieją jakieś analogie?

Karol Marks pisał, że „historia powtarza się: najpierw jako tragedia, drugi raz jako farsa”. W tym sensie można by zestawić sytuację dzisiejszą, ale z rokiem 1938 – choć będzie to farsa zupełnie głupkowata. Chamberlain prowadził pragmatyczną brytyjską politykę imperialną, której zasadą była następująca: mocarstwo europejskie, które dąży do dominacji nad Europą, musi zostać zniszczone. O ile to możliwe – bez uciekania się do wojny. Jeżeli porównamy to z dzisiejszą sytuacją, to musimy zadać sobie podstawowe pytanie: kto tu jest mocarstwem? Oczywiście, że nie Rosja, tylko Zachód. Pod każdym względem są to nieporównywalne wielkości.

Jednak jeszcze kilkadziesiąt lat temu Związek Radziecki konkurował z Zachodem jak równy z równym.

Do lat 70. ubiegłego stulecia mieliśmy do czynienia ze światem dwubiegunowym. Biegunem określamy ośrodek, który przyciąga, skupia wokół siebie mniejsze kraje, narzuca im jakieś (formalne lub nieformalne) ograniczenia. Stany Zjednoczone ściągały uwagę innych państw przez bogactwo, możliwości, gwarancje bezpieczeństwa. Narzędziem sowieckim była natomiast ideologia i przymus. Około roku 1970 pojawił się trzeci biegun – chiński, który z jednej strony posługuje się takimi narzędziami, jak przymus i ideologia, z drugiej – olbrzymim skokiem gospodarczym. Świat zaczął stawać się wielobiegunowy.

Związek Radziecki najpierw stracił status bieguna, następnie status wielkiego mocarstwa i zaczął się rozsypywać. Moskwa musiała oddać kraje obozu sowieckiego, aby utrzymać Związek Radziecki, a gdy okazało się to niewystarczające – zrezygnować z republik sowieckich, aby zachować w całości Rosję. Działo się tak, nawet mimo poparcia Amerykanów, którym w latach 1990-91 zależało na utrzymaniu niegroźnego już Związku Sowieckiego, który miał być czynnikiem stabilizacji w rzekomo zagrożonym anarchizacją regionie.

Jak poważne są te różnice między Związkiem Radzieckim a dzisiejszą Rosją?

Różnica są przede wszystkim jakościowe. W momencie, kiedy funkcjonował świat dwubiegunowy i zaczynał się wyłaniać świat wielobiegunowy, Związek Radziecki był drugim albo trzecim mocarstwem gospodarczym świata. Dziś Rosja z trudem mieści się w pierwszej dziesiątce. Bo jeśli przeliczymy PKB po nowych,

niższych cenach ropy naftowej, to Korea Południowa wyprzedzi Rosję w tym zestawieniu. To są porównywalnej wielkości gospodarki, ale nikt przecież nie powie, że Korea Południowa jest światowym mocarstwem.

Druga różnica jakościowa: gospodarka Związku Radzieckiego była oparta o rozwinięty przemysł przetwórczy. Rosja nie jest mocarstwem przemysłowym, ale mocarstwem bananowym, tzn. żyjącym z eksportu jednego towaru – surowców energetycznych – którego nie tworzy, tylko pozyskuje. Gospodarka radziecka była w minimalnym stopniu uzależniona od gospodarki światowej – w przeciwieństwie do gospodarki rosyjskiej, która jest całkowicie zależna od sytuacji na rynkach światowych. Względnie drobne zmiany w cenach ropy naftowej, niezależnych od rządu czy giełdy moskiewskiej, dają Rosji nadmiar środków, albo ich niedostatek. W związku z tym nie można nawet zaplanować w miarę pewnego budżetu na kilka lat do przodu.

Niemcy hitlerowskie w 1938 roku miały ogromny potencjał produkcyjny i gospodarczy, który osiągał pierwsze lub drugie miejsce na świecie. Ten potencjał został stworzony jeszcze przed 1914 rokiem, nienaruszony i rozbudowany w pierwszej wojnie światowej, a zniszczony dopiero wskutek katastrofy w drugiej. Przez całe dwudziestolecie Niemcy rozbudowywały swój potencjał. Rzesza hitlerowska robiła to metodami awanturniczymi, drukując papiery wartościowe, które w rzeczywistości żadnej wartości nie miały – ale pozwoliło to jej uruchomić w pełni posiadany potencjał gospodarczy i odbudować potężny Wehrmacht – stając się jedną z największych potęg świata.

W Rosji funkcjonuje jeszcze przemysł zbrojeniowy...

... który w związku z wojną rosyjsko-ukraińską dostał straszliwy cios, co było zapewne jedną z przyczyn ostrej, a w istocie rozpaczliwej, awanturniczej polityki Putina, ponieważ Ukraina była poważnym partnerem w tym zakresie. Przy czym Ukraina nie produkowała (może poza czołgami – ich największa fabryka na świecie jest w Charkowie) wyrobów finalnych, tylko ich części. Przykładowo, wszystkie wojskowe śmigłowce rosyjskie mają ukraińskie silniki, dopiero od bodajże dwu lat Rosjanie zaczęli produkować własne. Ale najbardziej nowoczesny przemysł zbrojeniowy to wcale nie Donbas, tylko Dniepropietrowsk, Zaporże itd. Rosyjski przemysł zbrojeniowy (podobnie jak ukraiński), jest w zasadzie jedynym przemysłem pomyślanym na eksport – głównie do krajów Trzeciego Świata. Wartość sprzedaży nie jest jednak imponująca – stanowi co najmniej połowę (a niektórzy twierdzą nawet, że jedną trzecią) wartości eksportu wyrobów spożywczych z Polski. A przecież Polska nie jest jakimś mocarstwem gospodarczym, w tym – rolniczym.

Mówimy o gospodarce, ale chyba nie można zapominać, że Rosja jest państwem, która przeznacza olbrzymie sumy na zbrojenia.

Formalna mocarstwowość militarna Rosji opiera się na jednym, samotnym czynniku: broni rakietowo-nuklearnej. Rosjanie mają mniej więcej tyle głowic nuklearnych, ile miał Związek Radziecki. Ale strategiczna broń nuklearna nie ma współcześnie możliwości wojskowego zastosowania. Mamy dwa rodzaje tej broni: masowego zniszczenia i precyzyjnego rażenia. Broń masowego zniszczenia miała zastosowanie wyłącznie polityczne: podczas zimnej wojny uniemożliwiała rozpoczęcie globalnego konfliktu.

Wojskowo można było ją wykorzystać tylko w jednym przypadku – w celu zniszczenia przeciwnika kosztem zniszczenia samego siebie. Słowem: wojna dla samej wojny, bez celu politycznego. Stany Zjednoczone nie chciały wojny, co wymagało posiadanie broni nuklearnej, gdy Związek Radziecki nie był dość silny, aby globalną wojnę rozpocząć, lecz broń nuklearną musiał mieć.

Dlaczego musiał?

Ponieważ będąc biegunem polityki światowej, musiał uzyskać status wielkiego mocarstwa. Bez strategicznej broni nuklearnej nikt by go za takie mocarstwo nie uznał.

Teoretycznie rzecz biorąc, biegunem polityki światowej może być kraj, który nie ma statusu wielkiego mocarstwa, ale przyciąga i grupuje wokół siebie inne kraje oraz organizuje wykorzystanie ich energii społecznej. Kiedy w XVIII wieku zaczynał formować się biegun zachodni, początkowo w Wielkiej Brytanii, to nie była ona jeszcze wielkim mocarstwem europejskim i nie angażowała się mocniej w kontynentalne przepychanki, a tym samym nie zużywała swoich zasobów energii społecznej. Natomiast Sowieci uważali, że sama idea komunistyczna, liczba ludności i rozległe terytorium nie są wystarczające, dlatego chcieli mieć status wielkiego mocarstwa. Potrzebowali jakichś materialnych dowodów, które by ten status potwierdzały. Ponieważ nie mogła przewodzić światowej nauce czy kulturze ani stać się wiodącą potęgą gospodarczą, kontynuowała model, przyjęty grubo wcześniej przez carat: potężne siły zbrojne.

Uchodziły za największe na świecie.

Chińskie były jeszcze większe – w początku lat 40. ubiegłego wieku ponad 25 milionów w szeregach. Jednak wcale nie

oznaczało to, że z tego względu wszyscy będą uważać je za wielkie mocarstwo. W przypadku ZSRR – cóż to za wielkie mocarstwo, które nawet posiadając bardzo silną armię prosi, aby sprzedawać mu zboże – i to po niskich cenach, bo nie ma pieniędzy? Trzeba było stworzyć taką sytuację, w której czynnik militarny stał się głównym elementem wielkomocarstwowości. Wojsko najbardziej cenne jest podczas wojny, wtedy wszystko zależy od niego. Ale Związek Radziecki nie mógł rozpocząć wojny – m. in. dlatego, że był za słaby gospodarczo, a więc nie mogli rozbudować wojska do potrzebnego poziomu. Wybrano więc – raczej intuicyjnie, niż rozumowo – szczególną koncepcję. Wystarczy prowadzić politykę, która będzie utrzymywała świat na krawędzi wojny. Spowoduje to, że czynnik militarny stanie się znów najważniejszy. Kilka tysięcy pocisków nuklearnych, gotowych do użycia wystarczało. Wprawdzie dość szybko zorientowano się, że to broń polityczna, nie do użycia militarnego – ale aby utrzymać równowagę, trzeba było konstruować i budować coraz to nowe i nowe.

Wróćmy do roku 1938. Otóż Hitler miał już potężną armię – i to nie polityczną, ale realną, gdy Wielka Brytania była jej prawie pozbawiona. Przez kilkanaście lat wydatki na obronę utrzymywała na najniższym możliwym poziomie. RAF miał samoloty z początku lat 20., operacyjne wojska lądowe nie istniały, a Royal Navy, choć najpotężniejsza na świecie, była w stanie kontrolować tylko dwa akweny strategiczne, gdy istniała konieczność obrony trzech. Francuzi dysponowali armią potężną, ale bardzo osłabioną redukcjami, które prawie nieprzerwanie następowały po poprzedniej wojnie, z niedostatkami nowoczesnego sprzętu. Cóż z tego, że produkowała nowoczesne samoloty, skoro przez ostatnie kilkanaście miesięcy prosto z fabryk potajemnie kierowała większość dla republikańskiej armii hiszpańskiej? Zresztą, dwa

lata rządów Frontu Ludowego wpędziły gospodarkę francuską w głęboki kryzys. Groźby wojenne Hitlera w Paryżu i Londynie odbierane były, jako zapowiedź militarnej klęski. Konieczny był rok – dwa, aby wykorzystując własny wielki potencjał gospodarczy, uzyskać przewagę militarną nad Rzeszą i nie dopuścić, aby Hitler rozpętał wojnę. Dlatego Chamberlain musiał jeździć do Berchtesgaden, Bad Godesberg czy do Monachium – i grzecznie się zachowywać, co robił z niemałym wstydem. Rok później sytuacja militarna była już inna, a przywódcy francuscy czy brytyjscy zachowywali się zgoła inaczej.

W czasie zimnej wojny czynnik militarny dalej pozostawał tym głównym.

Liczba pocisków raketowych z głowicami nuklearnymi świadczyła o potędze państwa. Ich posiadanie stanowiło narzędzie polityczne uniemożliwiające wybuch wojny, a równocześnie potwierdzało status wielkiego mocarstwa. De Gaulle, wbrew najpotężniejszym graczom na scenie światowej, zaczął budować siłę nuklearną dla wywindowania pozycji politycznej swojego państwa. Doskonale wiedział, że i tak warunkiem efektywnego powstrzymania ewentualnego ataku Związku Radzieckiego jest akcja Stanów Zjednoczonych. Dlatego przy całej swojej polityce emancypacji od Stanów Zjednoczonych w okolicznościach przełomowych stawał po stronie Waszyngtonu – tak jak w czasie kryzysu kubańskiego, kiedy momentalnie zapewnił, że USA może w zupełności polegać na Francji.

Powtarzam jednak: dzisiaj broń nuklearna, jako narzędzie polityczne jest reliktem minionej epoki – w okresie zimnej wojny obie strony zdawały sobie przy tym sprawę, że nie mogą jej militarnie wykorzystać. Obecnie część polityków czy dziennikarzy

o tym zapomniała. Dzisiaj do takiej metody mogliby sięgnąć tylko terroryści lub państwa skrajnie fundamentalistyczne, które nie liczą się z druzgocącym atakiem odwetowym. Proszę zwrócić uwagę: Izrael stworzył broń nuklearną, aby się zabezpieczyć przed wrogimi państwami arabskimi. Schemat myślenia był następujący: jeśli np. Egipcjanie na nas ruszą, zrzucimy bombę atomową na Kair, co spowoduje klęskę, z której Egipt nigdy się nie podniesie. A dzisiaj? W konfrontacji z Hamasem takie zabezpieczenie Izraela jest bezużyteczne – determinacja terrorysty w odróżnieniu od determinacji szefa normalnego państwa, nie liczy się z biologicznym przetrwaniem. Zagrożenie nuklearne można i trzeba dzisiaj traktować poważnie, ale w granicach realiów. Trzeba wcześniej zadać sobie pytanie, skąd to zagrożenie może przyjść – bo na pewno nie ze strony Rosji. To nie przeciwko państwu Putina Amerykanie budują tarczę antyrakietową.

A zagrożenie konwencjonalne?

Armia rosyjska nie jest w stanie prowadzić wojny światowej, co najwyżej konflikty lokalne. Parę lat temu w Gruzji udało się Rosjanom wygrać małą wojenkę, choć działania wojskowe przeprowadzono bardzo nieudolnie. Skutki były takie, że Rosjanie zaczęli przebudowę armii, aby przygotować ją prowadzenia działań konwencjonalnych. W przypadku Ukrainy widzimy, do jakiego stopnia się to udało. Specjalnością rosyjską, rozwijaną jeszcze w Związku Radzieckim, jest wojna subwersyjna – czyli sterowana z zewnątrz rewolucja w drugim kraju. Można powiedzieć, że rozwinęli to lepiej niż Hitler, który w przeciwieństwie do Putina nie potrafił zorganizować wojskowo mniejszości niemieckiej w Czechosłowacji. Proszę pamiętać, że w Drugiej Rzeczypospolitej Korpus Ochrony Pogranicza powstał

właśnie po to, aby udaremnić Związkowi Radzieckiemu prowadzenie wojny subwersyjnej na naszym terenie.

Wojsko, które kierowała Rosja do Ukrainy przeznaczone było właśnie do roboty dywersyjnej, wywrotowej. Okazało się jednak, że rozbudowany Specnaz nie wystarcza. Dzięki czemu Rosjanie zaczęli odnosić sukcesy w Donbasie? Bo skierowali tam jednostki spadochronowe. Czemu nie zwykle dywizje liniowe? Formowanie, wyposażenie i szkolenie jednostek desantu powietrznego jest wyjątkowo drogie. Nie wykorzystuje się ich do innych zadań, niż atak z powietrza. Byłoby to czyste marnotrawstwo. Chyba, że w sytuacji krytycznej. Sowieci w 1941 roku mieli trzy dywizje lotniczo-desantowe – niepełnie uzbrojone i niedostatecznie wyszkolone – których użyli operacyjnie dopiero w obronie Moskwy! Tego typu oddziały nie mają rzeczywistej broni ciężkiej, są przewidziane tylko do zaskakujących ataków z powietrza, zajmowania kluczowych punktów i bronięcia ich do przyścia jednostek liniowych. Dlaczego sięgnął po nie Putin? Bo te jednostki przeszły już modernizację i doszkolenie, gdy pozostałe są jeszcze w takim samym stanie, jak podczas wojny gruzińskiej. Dlaczego sięgnął? Bo groziło, że Ukraińcy zduszą całkowicie separatystów, najemników i wspierający ich Specnaz. Oddziały ukraińskie, regularne i ochotnicze, są słabo wyszkolone, gorzej uzbrojone – ale zdeterminowane, wiedzą o co walczą. Gdyby uzyskały końcowy sukces, zdemaskowałyby to słabość militarną Rosji. A że straty spadochroniarzy okazały się nadspodziewanie wysokie, Putin tym bardziej musiał zgodzić się na rozejm.

Może nawet bardziej niż zagrożenia wojną podkreśla się zagrożenie okresowego wstrzymania dostaw rosyjskiego

gazu, od którego Europa jest mimo wszystko w jakimś stopniu uzależniona.

To tylko pozornie dowód uzależnienia innych od Rosji, a w rzeczywistości dowód na uzależnienie Rosji od innych. W najbliższym czasie w Kłajpedzie zostanie uruchomiony gazoport: Litwa będzie w stanie odbierać tyle gazu, że będzie mogła zaspokoić potrzeby wszystkich krajów bałtyckich i część odsprzedać Polsce. Część przeznaczy nawet na eksport dla krajów bałtyckich i Polski. Do wiosny przyszłego roku zaczną działać nasz gazoport (od dłuższego czasu mamy już naftoport w Gdańsku). Dla nas odcięcie ropy naftowej rodzi jedynie konieczność znalezienia innej drogi dostaw, a co za tym idzie wydania większych pieniędzy przez jakiś czas. Nic więcej. Oczywiście, musimy przez cały czas otrzymywać znaczne rezerwy gazu, co jest dosyć kosztowne. Natomiast Rosji pieniądze z nieba nie spadną. Zresztą przy obecnym kursie ropy naftowej wszystkie plany finansowe Moskwy legły w gruzach. Rosjanie przyjęli w budżecie, że cena za baryłkę ropy naftowej (Brent) nie spadnie poniżej 104 dolarów, a obecnie obniżyła się poniżej 90 dolarów – pomylili się aż o 10%. Zważywszy, że dochody z eksportu surowców energetycznych stanowią połowę potrzeb budżetowych Federacji Rosyjskiej, jak na razie zmalały już o 5% i dalej maleją. Co ważniejsze, sankcje zachodnie zaczynają działać, a tracący kontrolę nad wydarzeniami Putin w swoisty sposób je wspomaga, represyjnie ograniczając import „od wrogów”.

Niemcy hitlerowskie w takiej sytuacji w warunkach pokojowych nie znalazły się nigdy!

Dowodzi Pan, że Rosja nie jest ani potęgą gospodarczą, ani polityczną – można by zapytać: czego więc obawiają

się ci wszyscy politycy i dziennikarze, którzy straszą dziś wielkim wschodnim mocarstwem?

Rosja nie jest dziś żadnym mocarstwem światowym – nie może interweniować we wszystkich rejonach świata i wpływać na globalne wydarzenia, jak to robią Stany Zjednoczone. Może oczywiście rozmawiać z Brazylią, tylko że dla Brazylii, która ma ponad 190 milionów mieszkańców, Rosja ze 140 milionami nie jest ani starszym bratem, ani wielką potęgą. Dla Chin jest pustkowiem z surowcami i niewystarczająca liczbą obywateli.

Ale nie wszystko na świecie rozwija się w kategoriach globalnych. Są też niższe poziomy. Rosja jest mocarstwem regionalnym, choć przewodzi w bardzo skromnym regionie, który w najlepszym wypadku obejmuje większość byłych republik sowieckich...

... które Putin próbuje skupić w Unii Eurazjatyckiej.

Zinstytucjonalizowanie regionu, w którym Rosja jest mocarstwem, jest dużo słabsze, niż to sobie Putin wyobraża. Problem polega na tym, że ten region obejmuje terytorium byłego Związku Radzieckiego wyłącznie w marzeniach. Marzenia w Rosji nazywają się geopolityką. Rosjanie mogą sobie myśleć, że oto stworzą taką wschodnią Unię Europejską. Są różnice na plus i na minus. Przewaga Rosji w ewentualnej Unii Euroazjatyckiej byłaby ogromna, żadne z państw UE nie ma nawet w połowie takiej pozycji. Tylko, że wśród członków UE są trzy państwa, z których każde dysponuje większym potencjałem, niż Rosja.

Projekt Putina byłby bardziej kulawy bez Ukrainy...

Rosjanie doskonale wiedzą, że ich potęga zaczęła się wtedy, kiedy w ich granicach znalazło się dorzecze Dniepru i kraje bałtyckie.

Stanęli w obliczu sytuacji, w której kluczowa część dorzecza Dniepru, a więc czterdzieści milionów ludzi zostało utraconych. Z punktu widzenia planów budowy wokół Rosji Unii Euroazjatyckiej, Ukraina była najważniejszym państwem. Z uwagi na strukturę fizyczną świata Rosja bez Ukrainy i Białorusi zostaje w istocie wypchnięta z Europy (zlewiska atlantyckiego) w zlewisko bezodpływowe – czyli centralną część Azji. Oznacza to bardzo duże ograniczenie potencjału demograficznego i ekonomicznego – dla nich stratą nie do przyjęcia jest cała Ukraina, a nie Krym, który poza turystyką nie ma gospodarczego znaczenia, i Donbas, czyli zagłębie węglowe, które gospodarcze znaczenie już straciło. Konstrukcja euroazjatycka, którą Moskwa chce stworzyć, bez Ukrainy, Białorusi Kazachstanu będzie fikcyjna, a bez samej Ukrainy – kaleka. Gra toczy się o całość regionu, a nie o jakieś kawałki. Tymczasem przykład Ukrainy staje się zaraźliwy – powoli zaczynamy to dostrzegać na Białorusi.

W jaki sposób izolacja na arenie międzynarodowej wpłynie na Rosję?

Nie można prowadzić polityki w oderwaniu od warunków zewnętrznych i liczyć na to, że będzie się liczącym graczem na scenie międzynarodowej. Jeden przykład. Na początku XIX wieku Chiny były najludniejszym krajem świata, prawdopodobnie miały najliczniejszą armię na świecie, mocną gospodarkę, ale za sprawą własnej izolacji nie były nawet dostrzegane jako podmiot polityki międzynarodowej.

Związek Radziecki nauczył się żyć w izolacji między innymi dlatego, że carska Rosja starała się ją cały czas zachować – co zresztą przekładało się na opóźniony rozwój. Sowietci starali się ten stan rzeczy jeszcze bardziej umocnić – Stalin mógł nie narzekać,

że rządził otoczony swego rodzaju kordonem sanitarnym, bo w latach dwudziestych i na początku trzydziestych dawało się tak przetrwać. Ale dla dokonania skoku gospodarczego, a co za tym idzie zbrojeniowego, trzeba było pożegnać się z izolacją. Bez technologii, bez materiałów i kredytów Zachodu żadna z pięciolatek by się nie powiodła. Ta sama faza powtórzyła się po drugiej wojnie światowej: w latach pięćdziesiątych radziecka izolacja zaczęła pękać – jeżeli się aspiruje do miana światowego mocarstwa, trzeba intensyfikować zewnętrzne kontakty. Dzisiejsza Rosja, która jest tylko mocarstwem regionalnym, nie stanowi wyjątku od tej reguły. Im bardziej się zamknie, tym bardziej się skurczy.

Znów mamy do czynienia z przeciwieństwem sytuacji z 1938 roku. Niemcy nie starały się izolować, wręcz przeciwnie, chciały rozbijać izolację: zarzucały, że są blokowane ze wszystkich stron, że się ich okrąża. Hitler sam kroczył ku katastrofie, ponieważ potencjał Rzeszy był zbyt słaby dla realizacji nakreślonych przez niego planów, ale Rzesza okazała się wystarczająco potężna, przynajmniej po 1936 roku (oddziaływać zaczęło przywrócenie obowiązkowej służby wojskowej), aby przegrać dopiero po dziesięciu latach.

Związek Radziecki, który w stosunku do obecnej Rosji był potęgą, nie mógł się podnieść po izolacji narzuconej mu przez politykę Reagana, mimo że ta polityka skończyła się pod koniec lat osiemdziesiątych – wystarczyło, że zaznaczyły się jej skutki. Rosja Putina nie może być traktowana, jako równorzędne mocarstwo w stosunku do Zachodu, pogrąża się w izolacji, próbuje sztuczkami ratować prestiż swojego przywódcy. Jedynym rozwiązaniem, które leży w zasięgu Putina jest przegrać w taki sposób, żeby można było

ogłosić zwycięstwo. Była już szansa, aby tego spróbować. Pierwsze porozumienie o zawieszeniu broni w Donbasie można było uznać za sukces: Rosja wspomogła swych rodaków na Ukrainie, zmusiła Kijów, aby respektował ich prawa obywatelskie, spokojnie można wycofać wojsko i zakończyć konflikt. Putin z tej okazji nie skorzystał. Może dlatego, że Amerykanie wyraźnie stwierdzili, że nie wystarczy wycofanie się z Donbasu, muszą jeszcze opuścić Krym. Putin udał, że tego nie słyszy.

Gra nie toczy się jednak o Krym czy Donbas. Toczy się o Europę – bo jeśli Unia chce pełnić wiodącą rolę na świecie, odzyskiwać dawną rangę – nie może sobie pozwolić, żeby ktoś jej zagrał na nosie. Toczy się o Rosję – to koniec mitu supermocarstwowego, ale i zagrożenie spistości imperium. Toczy się o Putina, bo gdy się przyzna do przegranej, przestanie istnieć jako polityk. Nie chcąc dopuścić do takiego rozwiązania, musi równocześnie eskaluje konflikt, jak i stara się stworzyć warunki, w których mógłby wyjść z całego kryzysu bez utraty twarzy.

Czyli porażka Rosji jest tylko kwestią czasu?

Jedyną możliwością osiągnięcia przez Putina krótkotrwałych korzyści na Ukrainie byłaby powtórka ze scenariusza gruzińskiego, ale pod warunkiem utraty twarzy przez Zachód. Ale Zachód nie ma żadnych powodów osłabiania własnego prestiżu w imię interesów rosyjskich. Już w tej chwili – a sytuacja jest przecież dynamiczna – odrobienie strat gospodarki rosyjskiej wymagałoby co najmniej pięciu lat korzystnej współpracy z Zachodem. Obecne pokolenie zachodnich polityków czuje się oszukane przez Rosję, która do tej pory kreowała się na wiarygodnego partnera. Oczywiście, z pewnych racji politycznych czy ekonomicznych zachowują się wobec Putina dość łagodnie, ale to pokolenie

polityków już zawsze z dużą rezerwą będzie podchodzić do współpracy z Moskwą. W każdym razie najbardziej optymistyczny, choć mało prawdopodobny wariant dla Rosji nie wykracza poza zatrzymanie Krymu i części Donbasu, i to za cenę rozbicia własnej gospodarki. A jeśli Rosja będzie musiała ustąpić, a wszystko wskazuje na to, że tak się stanie, rozgrywka będzie się toczyć o zwartość państwa.

Czy konsekwencje wojny na Ukrainie mogą doprowadzić do dezintegracji albo nawet rozpadu Rosji?

Scenariusz, w którym Rosja wkroczy w kolejną fazę dezintegracji, jest całkiem realny, ponieważ to rozległe państwo jej rozrywane przez sprzeczne interesy różnych obszarów. W wielu wypadkach może się okazać, że małe narody będą uważały pozostanie w Rosji za opłacalne, ale ludziom języka rosyjskiego wręcz odwrotnie. Dotyczy to przede wszystkim prowincji Dalekiego Wschodu, ciągnących ku Japonii, i wschodniej Syberii (obszar między Jenisejem a Bałkajem) – są to obszary bogate w surowce, między innymi ropę i gaz, z których zyski czerpie przede wszystkim Moskwa.

Na wschód od Jeniseju, czyli na obszarze wiecznej zmarzliny, gdzie warunki bytowe są niezwykle trudne, dochodziło do wydarzeń, które zmusiły Moskwę do wyłożenia pieniędzy, aby nie powtarzały się więcej w tak drastycznej formie. Trudno nam powiedzieć o skali tych przypadków, ale dochodziło do sytuacji – jak we Władywostoku – kiedy zimą przestawano ogrzewać mieszkania z powodu braku węgla, którego Rosja jest wielkim eksporterem! Proszę pamiętać, że średnie temperatury osiągają tam -10 stopni Celsjusza, a realne przekraczają -20. Kłopoty żywnościowe zostały natomiast zażegnane nie dzięki władzy

centralnej, a Chińczykom. Na tym obszarze mieszka około 8 milionów obywateli rosyjskich i 3 miliony Chińczyków, którzy produkują żywność w dolinie Amuru – ale wszystkie powiązania cywilizacyjno-ekonomiczne kierują się w stronę Japonii. Dla tych ludzi przynależność do Rosji nic nie daje, zwłaszcza że to głównie władza scentralizowana pobiera korzyści z miejscowych bogactw naturalnych. Podobnie jest we wschodniej Syberii, choć tam akurat dominują wpływy chińskie.

Proces rozpadu Rosji trwa już od dłuższego czasu: na transformacji w latach dziewięćdziesiątych zyskała Moskwa i Petersburg – inne ośrodki dużo mniej. W dodatku coraz szerszy dostęp do Internetu i mediów zachodnich będzie karmił rosyjskiego widza wyidealizowanym obrazem rzeczywistości zachodniej czy japońskiej, który w zestawieniu z realiami rosyjskim będzie pobudzał ruchy odśrodkowe. Putin swoimi awanturniczymi działaniami jedynie przyspiesza to, co nieuniknione.

Zamykając temat analogii historycznych – nie ma zatem żadnych podobieństw dzisiejszej sytuacji międzynarodowej z tą z 1938 roku.

Sytuacja w porównaniu do 1938 roku jest podobna tylko w jednej formie: narzędziem jest mniejszość etniczna. Ale poza tym nie ma żadnych analogii. W 1938 roku Niemcom sukces przyniosła potężna armia i rozbrojeni przeciwnicy, którzy – zwłaszcza Francja i Czechosłowacja – nie byli w stanie strategicznie opracować sytuacji. Dziś mamy do czynienia z Rosją, która jest cieniem swojej dawnej potęgi, zarówno pod względem jakościowym i ilościowym.. Ukraina nie została pozostawiona samej sobie, uzyskała wsparcie nie tylko w Polsce i Stanach

Zjednoczonych, lecz również w Unii Europejskiej, gdy Czechosłowacja w 1938 roku została porzucona przez własnych sojuszników – Francję i ZSRR. Żądania Hitlera podczas Anschlussu czy przy kryzysie sudeckim umacniały niemiecki prestiż na arenie międzynarodowej, a obecne żądania rosyjskie wywołują odwrotny skutek – autorytet Moskwy upada. Świat widzi, że Rosja zachowuje się już nawet nie tyle nieobliczalnie, co historycznie – odpowiadając na sankcje innych własnymi, ale samobójczymi. Putin tyle naczytał się o głupich kapitalistach, którzy wszystko oddawali Hitlerowi, aby zaszkodzić ZSRR, że sam zapragnął pójść Führera. Zapomniał tylko, jak tamten skończył.

Putin nie jest demiurgiem

Jest to artykuł Leszka Moczulskiego opublikowany 22 stycznia 2015 r. na stronie dziennika „Rzeczpospolita”: www.rp.pl/artykul/1173420.html

Czytam gazety, patrzę na telewizję; dziennikarskie tuzy, uznani eksperci i przywołani do tablicy politycy zastanawiają się głośno, co uczyni Władimir Putin. Rok temu, przypomnę, przedmiotem domysłów były plany Wiktora Janukowycza. Czy ten zręczny mąż stanu, tak umiejętnie lawirujący pomiędzy Kremlem a UE, ostatecznie wybrał już Unię Eurazjatycką, czy też chowa w zanadrzu kartę, która – mimo problemów ekonomicznych Ukrainy, pozwoli mu rozwinąć związki z Europą?

Przymus, a nie wybór

Ludzie marzli wówczas na Majdanie, tegoroczna zima jest zdecydowanie cieplejsza – i nastąpiła eskalacja personalna: teraz Putin wyjaśnia, że kłopoty gospodarcze, choć wprowadzie drobne, mogą potrwać i dwa lata. Nie przeszkadza to przecież w uroczystym proklamowaniu Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej. Liczy się sukces, a nie brak Ukrainy. Wybitny przywódca Świętej Rosji, panujący na jednej szóstej powierzchni lądów Ziemi (włączając obszary utracone przejściowo), wiosną podjął fundamentalną decyzję. Przynajmniej tak usłyszałem w elektronicznym medium. Zakończył rekonstrukcję supermocarstwowości, nadszedł czas, aby spektakularnie ujawnić ją przed światem. Jednym ruchem zagarnął Krym, a teraz ma do wyboru... *Point de rêveries, Messieurs!* Hola, hola – moje panie i

panowie! Putin nie wybiera; Putin musi. Politycy, ci z prawdziwego zdarzenia, nie są demiurgami, od których rozumu i woli zależą losy narodów. Działają w wąskich korytarzach, które im nieustannie tworzą i zamykają zmienne relacje sił. Najprzeróżniejszych, o własnych mechanizmach, często ujawniających się dramatycznie, na ogół prawie niewidocznych. Jeśli przywódcy państw potrafią, choćby intuicyjnie, odczytać procesy, przebiegające przez najbliższą przyszłość, mogą uzyskać niemało – i to na ogół wystarcza, aby zapisać się w historii. Ale pod jednym warunkiem: że kierują państwami, dysponującymi dostatecznym potencjałem mocy. Najpierw parę pytań.

Czy Rosja jest supermocarstwem? Czy ZSRR był supermocarstwem? Nie cofając się zbyt daleko w przeszłość, skonkretyzujmy: w latach 70. ZSRR był supermocarstwem militarnym. Ale nie był supermocarstwem ekonomicznym, a przestawał być supermocarstwem demograficznym. Górował nad innymi obszarem, lecz w połowie była to wieczna marzłoc i piaszczyste pustynie. Aby utrzymać swą wybujałą rangę międzynarodową, skupił wysiłek na zbrojeniach - i to doprowadziło go do zguby. Czym więc był? Na pewno jednym z biegunów polityki światowej. Mowa o takiej potędze, która ma zdolność przyciągania innych.

Nie jest to zjawisko występujące zawsze. USA przyciągały gwarancjami bezpieczeństwa, zamożnością i wolnościami obywatelskimi; ZSRR przymusem militarnym i mesjanistyczną doktryną przyszłej szczęśliwości. Ale to w tamtej dekadzie załamał się system dwubiegunowy. Wyrósł trzeci: Chiny – dysponujące największym na świecie zasobem energii społecznej i zmodernizowaną teorią Marksa - ciągle atrakcyjną, przynajmniej

w krajach Trzeciego Świata oraz na paryskich uniwersytetach. Symbolem przemiany geopolitycznej stał się luty 1972 roku i szanghajskie porozumienie Richarda Nixona z Mao.

Ćwierć wieku później zapytałem Henry'ego Kissingera, czy uważał, że warto przegrać wojnę w Wietnamie, aby pozyskać Chiny? Popatrzył na mnie – i zaczął mówić o czymś innym. Pytanie było trochę niewłaściwe, pomysł i decyzja należały do Nixona, jakby nie było najwybitniejszego – i najbardziej przegranego od czasów Wilsona – prezydenta USA. Kissinger jako jego doradca i sekretarz stanu był raczej rzecznikiem odnowy Świętego Przymierza – również potrójnego. Ale ZSRR był już za słaby i jeszcze zbyt ambitny, by podjąć taką ratującą koncepcję.

Zaczęły się schody

Dziś nie ma bieguna; jest jedno supermocarstwo globalne, lecz dalece nie starcza mu potencjału, aby kontrolować świat. Rosja z grubsza i nie w pełni zachowała potencjał militarny sprzed ponad dwudziestu lat, choć jego najważniejsza, nuklearna część jest obecnie mało przydatna. Zapłaciła wszystkim innym, ale zwłaszcza gospodarką, rozbitą, rozkradzioną, roztrwonioną. Pozostały wielkie surowce, trochę zbrojeniówki i powszechne braki. Przestała być biegunem; jej siła przyciągająca nie ogarnia nawet całości byłego ZSRR.

Putin pręży wolę, by odwrócić „największą katastrofę geopolityczną Europy XX wieku” (znam, co najmniej, trzy większe). Wrócił na drogę tradycyjną, a zatem jedyną: zbierania utraconych ziem. Najważniejszą z nich jest Ukraina. Jej, oraz krajów bałtyckich zagarnięcie w XVIII wieku pozwoliło zbudować

mocarstwowość rosyjską i wprowadzić ją do Europy. Bez Ukrainy niemożliwa jest powtórka. Tyle, tego Putina nauczono.

Przypomnijmy wydarzenia. Celem życia Janukowycza stało się wygranie przyszłych wyborów. Zależało to od Putina – i tak droga do imperium Eurazji została otwarta. Na chwilę, bo zaczęły się schody. Sprzeciwił się Euromajdan. Pierwsza nadzieja: mróz ich przepędzi. Druga: właściwe organa siłą przywrócą porządek. Ale gdy zaczęła lać się krew, 36 godzin wystarczyło na całkowitą zmianę władzy. Taki przewrót – Rosjanie znają to z własnych doświadczeń – powinien otworzyć długi okres kompletnego bezhołowia. Trzeba więc pobudzić konflikty wewnętrzne, Charków rzucić na Lwów, Zaporozże na Kijów, ukazać bezsilę euromajdańskich uzurpatorów. „Zielone ludziki” na Krymie to nie odzyskiwanie utraconej prowincji, tylko sygnał do wzniesienia ukraińskiej – sorry, małosyjskiej – wojny domowej. Więc leje się nowa krew w Odessie – i, niespodziewanie, potem nastaje spokój.

Bo Ukraina to europejski kraj, tylko dłużej uciemiony. Ci sami ludzie, którzy przepędzili Janukowycza, potrafili utrzymać stabilizację państwową i uzyskać ogromne poparcie społeczne w dwu kolejnych wyborach. To Putin wpadł w kołowrót, rozpędzony aż tak bardzo, że musi się wraz z nim kręcić w kółko. Jest Donbas, próba otwarcia drogi do Dniepru i Dniestru, ale wydarzenia wymykają się spod kontroli. A dalej: zbrodnia z malezyjskim samolotem, eskalacja sankcji zachodnich, we wrześniu przesilenie – wymuszony rozejm, ofensywa z Donbasu zatrzymana. Potem następują: załamanie koniunktury naftowej, upadek rubla, zanik perspektyw. Ale nie można wyjść z kręciołka, bo to totalna klęska, zamknięcie drogi do imperium, koniec snu o potędze. Putin nie może, ale musi tańczyć w jego takt.

Nutki optymizmu

Ktoś w to wierzy? Chyba nie, bo dziedzictwo intelektualne PRL – że przesadnie nadużyję tego przymiotnika – przesądza inaczej. Swoje wiemy: Rosja potęgą jest, i basta! Jakżeby inaczej? Jeśli Putin stworzył plan, to go przecież zrealizuje. Jeśli ma nowy, obawy tylko rosną. Te ich czołgi, te rakiety – a samoloty Bundeswehry pordzewiały ze starości. Czy zresztą zechcą nas bronić? Przecież już w 1831 roku Horace Sébastiani (niejako poprzednik François Hollande'a) powiedział: *L'Ordre règne à Varsowie*. I tak dalej, tak dalej – mimo, że gołym okiem widać, jak to powiódł się putinowski plan przejęcia Ukrainy, i jaką cenę za to Rosja już zapłaciła.

No, rzeczywiście, Putinowi narastają kłopoty, temu nikt nie zaprzeczy. Lecz gdyby upadł, jego następcą będzie jeszcze gorszy, bez kultury, bez skrupułów. Może doprowadzić do nieszczęścia... Pojawiają się nutki optymizmu. Gdyby tak, pod presją załamania standardu życia, Rosjanie wyszliby na ulicę... Gdyby udało się odbudować gospodarkę rosyjską, uczynić z niej wiarygodnego partnera...

Nie piszę o Polsce, ani o Polakach, ani o ludziach z mediów. Przedstawiam, wprawdzie nie wszystkie, ale dominujące, publicznie prowadzone i szeroko nagłaśniane dyskusje. A to nie to samo. I włączam się tylko do tych właśnie dyskusji.

Putin nie jest demiurgiem. Nie jest też Rosją – jedynie jej czasowym przywódcą. To silna osobowość, prawie całkowicie odlana na jeden wzorzec. Pochodna tradycji łączącej wielkoruski szowinizm ze światowym posłannictwem. Myśli prosto: drogą przez mękę dorobiliśmy się wszechświatowej pozycji – i za nic jej

nie oddamy. Zwłaszcza teraz, gdy zewsząd otaczają nas wrogowie, działa kategorię imperatyw: albo będziemy globalnym supermocarstwem, albo zginiemy. *Poniali?*

W tej logice brak tylko jednej przesłanki: poczucia rzeczywistości. Rosja nie jest potęgą – i ktoś, kto nie dysponuje nadprzyrodzoną siłą, nie wykrzesze jej z porozrzucanych pośród tajgi gładów. A Putina nikt nie nauczył, jak ją racjonalnie budować.

Jego upadku nie warto się bać. Im gorszy przyjdzie następca, bardziej awanturniczy – tym szybciej rozleci się wizja eurazjatyckiego imperium. Groźniejszy byłby sukcesor, zdolny stworzyć społeczne i ekonomiczne podstawy potęgi. Gdyby udało się to Putinowi, o ile obecna sytuacja byłaby trudniejsza! Najpierw Rosja musi odejść od ducha Moskwy – a to wymaga wysiłku pokoleń, albo doznania tak straszliwej, podwójnej klęski, jaką przeżyły Niemcy w minionym stuleciu. Marzenia, zamiary i kolejne plany Putina nie mogą się spełnić, bo najzwyczajniej Rosji brakuje sił. Słabnie z miesiąca na miesiąc – a na przednówku, gdzieś w połowie roku czeka ją ostry kryzys.

Ponad rok temu, 5 grudnia 2013 roku, na internetowym portalu pisałem: „Czynnikiem decydującym na Ukrainie są Ukraińcy. Podobnie, jak w 1989 roku okazało się, że o Polsce rozstrzygają Polacy. Tego faktu nie dostrzegli wówczas przywódcy ZSRR, a obecnie klucz do rozumienia sytuacji na Ukrainie pozostał poza wyobraźnią licznych analityków i komentatorów, w tym również – niestety – polskich... Niezależnie od kulawej gospodarki, przekupności władzy, podziałów i jaskrawych nieraz różnic, [Ukraińcy] nauczyli się już być niepodległym narodem... My chyba najlepiej powinniśmy rozumieć, że o przyszłości Ukrainy zadecyduje sam naród ukraiński”.

Czegoś takiego nie mógłbym napisać o Rosjanach. Buntowali się już wielokrotnie – często przybierało to straszliwe formy, ale skutek był podobny: trafiali pod jeszcze większe samowładztwo. Rebelia dla rebelii, okazja, aby poszaleć. Czy teraz ruszą czy nie, zapewne w małym stopniu wpłynie to na kształt rozstrzygnięcia. Pograżeni są w stagnacji, co typowe. Natomiast Ukraińcy okazali się najbardziej dynamicznym narodem w Europie początków XXI wieku. Dwie samo-kontrolujące się rewolucje, przejęcie władzy przy utrzymaniu stabilizacji wewnętrznej państwa, wytrzymanie straszliwej presji rozpoczynającej się od agresji potężnego sąsiada, społeczna gotowość do ofiar. Rosjanie przyglądali się tylko, co najwyżej klaszcząc własnemu szefowi. Nie byli nawet zdolni do organizacji społecznej, do pozarządowej pomocy dla swych rodaków z Donbasu.

Katastrofy potencjałowe

Są wielkie przemiany, w których najbardziej aktywnym podmiotem jest naród, ale są też ogromne transformacje, których narody pozostają biernym przedmiotem. Wówczas działają tylko zwykłe mechanizmy dziejów, a wśród ich skutków wyróżniają się katastrofy potencjałowe. Dochodzi do nich, gdy potencjał dyspozycyjny zaczyna zagarniać część potencjału ruchu – który zapewnia funkcjonowanie państwa i społeczeństwa, albo potencjału biernego – substancji obejmującej ogół walorów materialnych, intelektualnych i duchowych.

W pierwszym wypadku przestaje funkcjonować organizacja państwowa; tak zdarzyło się w Niemczech jesienią 1918 r., gdy bez klęski na froncie, wojna została niespodziewanie przegrana. Drugi wariant jest znacznie gorszy: przestaje funkcjonować wszystko.

Rosja tylko w XX wieku przeżyła go dwukrotnie: w latach 1917-1921 oraz 1989-1993. Czy po raz ostatni?

Najpierw Janukowycz, teraz Putin; ciekawe, kto za rok będzie na tapecie?

Posłowie – Geopolityka Rosji

Jest to relacja z wykładu Leszka Moczulskiego „Geopolityka Rosji” dnia 11 czerwca 2015 r. w Bibliotece Publicznej przy ul. Koszykowej w Warszawie. Wykład zorganizowany przez Bibliotekę Publiczną m. st. Warszawy, Bibliotekę Główną Województwa Mazowieckiego, Fundację im. Kazimierza Pułaskiego, Polskie Towarzystwo Nauk Politycznych oraz The Copernicus Journal of Political Studies. Moderatorem była dr Agnieszka Bryc z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Spisał: Marcin Furdyna.

Geopolityka się zmienia

Wstęp wykładu poświęcony był geopolityce jako dyscyplinie naukowej. Moczulski stwierdził, że z czasem zmienił się w jakiejś mierze charakter przedmiotu badań geopolitycznych. Geopolityka zajmuje się procesami czasoprzestrzennymi – otóż w ciągu ostatnich stu lat zmieniła się przestrzeń (z dwuwymiarowej na trójwymiarową) i zmienił się czas. Dawniej mieliśmy do czynienia z czasami równoległymi, funkcjonującymi obok siebie, ponieważ informacja, w zależności od odległości, dochodziła w różne miejsca w różnym czasie. Dla zobrazowania tego zjawiska Moczulski przytoczył anegdotę związaną z bitwą pod Waterloo: 18 czerwca wieczorem Londyn żył jeszcze w epoce napoleońskiej, natomiast Rothschild, dzięki doskonale rozwiniętemu systemowi kurierskiemu, był pierwszym, który wiedział, że żyje już w nowych, ponapoleońskich czasach – i dzięki temu zbil fortunę na giełdzie.

Geopolityka jako dyscyplina naukowa uzależniona jest również od miejsca – istnieją różne szkoły geopolityczne, w zależności od krajów. Moczulski podaje przykład geopolityki polskiej, dla której kluczowym pytaniem przed stu laty było: czy istnieje możliwość

stworzenia na nowo państwa polskiego? Dziś tego tematu badawczego już nie ma. Natomiast – zdaniem Profesora – w przypadku Rosji mamy dziś do czynienia z geopolityką spóźnioną w czasie.

„Współczesny świat geopolityczny – kontynuuje prelegent – można określić jako pulsującą rzeczywistość. Wyobraźmy sobie wielki ekran, na którym mamy mnogość najprzeróżniejszych punktów, które ustawicznie zmieniają natężenie, barwy, wielkość, miejsce – są w stałym ruchu. Dopiero patrząc na tę grę potencjałów możemy w pełni odczytywać procesy”.

ZSRR jako supermocarstwo

Od kilku stuleci – co najmniej od XVIII wieku – mamy do czynienia z powtarzającym się procesem: Rosja buduje swoją potęgę i doprowadza się do katastrofy. Jednym z tego przykładów był świat dwubiegunowy, który okrzepł po drugiej wojnie światowej. Wówczas powstały dwa wyraźne bieguny polityki światowej (a nawet więcej: ideologii, sposobu widzenia rzeczywistości, zarządzania, traktowania ludzi etc.). Czysty okres dwubiegunowy – poczynając od 1945 r. – trwał ok. ćwierć wieku i w tym czasie potęga Rosji rosła. Jej szczytem był przełom lat 50. i 60., kiedy miały miejsce pierwsze sowieckie loty kosmiczne.

Jednak supermocarstwowość rosyjska wg Moczulskiego była ułomna. Związek Radziecki był największym państwem na świecie i najludniejszym spośród czynnych aktorów sceny światowej. Podkreśla jednak, że te wskaźniki same przez się nie działają. Rosjanie zawsze dochodzili do potęgi dzięki siłom zbrojnym – i tę dokładnie doktrynę zastosował ZSRR. Żeby czynnik militarny mógł działać, musi być potrzebny, tzn. musi być zagrożenie o

charakterze militarnym. Po drugiej wojnie taki system zagrożenia militarnego został zbudowany – nazywał się „zimną wojną” i polegał na utrzymywaniu świata na krawędzi wojny. Bez tego zagrożenia Moskwa nie byłaby supermocarstwem.

Nie było to przygotowanie do wojny, ponieważ Związek Radziecki nie był na tyle mocny, aby ją rozpocząć. Nie był więc autentycznym supermocarstwem, bo w zakresie gospodarczym i kulturowo-cywilizacyjnym był znacznie opóźniony – z powodu słabości potencjałowej wojnę by przegrał. Natomiast kiedy trzymał świat na krawędzi wojny, był traktowany jako supermocarstwo. Moczulski dodaje: „Polityka ta była bardzo kosztowna, bowiem łądowano pieniądze w zbrojenia przy mniej lub bardziej wyraźnej świadomości, że są one niczym innym, jak produkcją bardzo nowoczesnego złomu”.

Potencjał geopolityczny

Potencjał geopolityczny to iloczyn potencjału materialnego, duchowego i intelektualnego; są to wszystkie walory, które dany podmiot geopolityczny posiada. Potencjały geopolityczne są mierzalne – jest cały szereg wzorców pozwalające je określać. Moczulski przedstawia strukturę funkcjonalną potencjału geopolitycznego:

Potencjał jałowy – to substancja, to co istnieje w sensie materialnym, duchowym, intelektualnym; jest to potencjał w stanie bezruchu – nie funkcjonuje, tylko istnieje.

Potencjał ruchu – który zapewnia funkcjonowanie państwa, społeczeństwa, kultury, gospodarki etc.

Potencjał dyspozycyjny – to potencjał do dowolnego wykorzystania, na ogół kierowany jest na powiększenie potencjału jałowego (albo np. na prowadzenie ekspansji zewnętrznej: politycznej, gospodarczej, kulturowej, militarnej).

W pewnych sytuacjach krańcowych (na przykład wielkiej wojny) potencjał dyspozycyjny jest zaangażowany tylko w jednym kierunku. Jeżeli jest on za mały, to zaczyna się go powiększać kosztem potencjału ruchu i/albo kosztem potencjału jałowego.

Zmniejszanie potencjału ruchu oznacza, że państwo zaczyna gorzej funkcjonować. Moczulski podaje przykład Rosji w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy państwu zabrakło potencjału dyspozycyjnego i zaczęło wchodzić na potencjał ruchu. Państwo stawało się coraz słabsze, aż w końcu, pod naporem ludzi, którzy nie otrzymywali nic z potencjału dyspozycyjnego (wszystko szło na wojnę), państwo pękło. Jednak znacznie gorzej jest w drugim wypadku – kiedy zżerany jest potencjał jałowy. Profesor wraca w tym miejscu do Związku Radzieckiego, którego polityka chętnie sięgała do substancji, natomiast niechętnie po potencjał ruchu (powiększając go nawet kosztem substancji, utrzymując ogromne siły policyjne, łagry etc.).

ZSRR kontra USA

Mniej więcej w latach 1950-1970 PKB Stanów Zjednoczonych było cztery razy większe niż PKB radzieckie. W momentach szczytowych ZSRR był gotów wydawać połowę PKB, aby dotrzymać kroku Waszyngtonowi. Do 1988 r. wydatki amerykańskie i sowieckie były na podobnym poziomie – tyle tylko, że Stany Zjednoczone wydawały na zbrojenia (czyli *de facto* na produkcję złomu – biorąc po uwagę, że do wojny dojść nie

mogło) dużo mniejszą część swego PKB. W przypadku niedoboru mocy produkcyjnych w ZSRR, wydawanie porównywalnych z amerykańskimi kwot na zbrojenia było zabójcze.

Moczulski raz jeszcze sięga po anegdotę: „W więzieniu mogłem prenumerować tylko prasę radziecką, która była dla mnie ciekawa. Pamiętam opis posiedzenia Komitetu Centralnego: ktoś zarzucił ministrowi transportu samochodowego, że blokuje prawidłowy rozwój gospodarki, bo nie jest w stanie ani dostarczyć na czas towarów, ani ich odebrać. Ten z kolei zrzucił winę na towarzysza, który zajmował się drogami, ponieważ tych dróg nie wyremontował. Tamten obwiniał jeszcze kogoś innego... obeszło wszystkich ministrów, każdy mówił: nie moja wina!”

Zimna wojna – puentuje Moczulski – która dała Związkowi Radzieckiemu czołową pozycję mocarstwową, doprowadziła ten kraj do tego, co nazywane jest katastrofą potencjałową (która najczęściej zdarza się w końcowych fazach wojen): z jednej strony ogranicza się potencjał ruchu, więc państwo źle funkcjonuje, z drugiej – substancja żywi ekspansję. „A ta substancja – wylicza Moczulski – to jest wszystko: chorzy, dla których nie ma lekarstw; domy i drogi, które są nieremontowane; samochody, do których nie ma części zamiennych”. Kiedy przekracza się pewną linię, mamy do czynienia z rozsypaniem się państwa – czyli tym, co stało się ze Związkiem Radzieckim na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku.

Potencjał geopolityczny Rosji

Moczulski przedstawia potencjał geopolityczny Federacji Rosyjskiej na tle potencjału Związku Radzieckiego. Zwraca uwagę

na kilka kwestii: położenie międzynarodowe, masa krytyczna (ludność plus terytorium), gospodarka, siły zbrojne.

Położenie międzynarodowe Związku Radzieckiego było znacznie lepsze niż położenie międzynarodowe Rosji – dowodzi. Pierwszy rywalizował z militarnie równym partnerem (a w warunkach zimnowojennych czynnik militarny wysuwał się na plan pierwszy), jakim były Stany Zjednoczone. Poza tym wszystkie kraje w bliskim sąsiedztwie były dużo słabsze. Dziś natomiast wszystkie liczące się ośrodki siły wokół Rosji są znacznie od niej silniejsze: Unia Europejska, Chiny, Indie (które mają wyraźną przewagę potencjałową) oraz umacniający się świat islamski. „Położenie rosyjskie się zmieniło: z mocarstwa między słabszymi – na byłe mocarstwo między silniejszymi” – mówi Moczulski, przytaczając prognozy demograficzne, wg których już niedługo ludność obu państw koreańskich (które, wg niego, prędzej czy później się zjednoczą) będzie większa od ludności Rosji.

Rosja jest co prawda największym krajem na świecie – z tym wyjątkiem, że połowa obszaru to wieczna zmarzlina, która w zasadzie nie nadaje do bytowania człowieka. Zagospodarowanie tego terenu wymaga ogromnych nakładów (a tam leży większość bogactw naturalnych) i wystarczającą ilość ludzi. Rosja od kilkuset lat boryka się z problemem niedoboru ludności, tj. energii społecznej, która z geopolitycznego punktu widzenia jest sumą energii witalnych ludzi, poruszającą wszystko na świecie. Problem ludności porusza szerzej omawiając sprawy wojskowe.

Związek Radziecki był przez długi czas drugim mocarstwem przemysłowym świata. Dziś pod tym względem Rosja plasuje się między ósmym a jedenastym miejscem. Rosja to kraj surowcowy, a era tych krajów zbliża się do końca – surowce wyczerpują się, ale

przede wszystkim stają się coraz droższe, więc opłaca się szukanie nowych technologii. Próba pobudzenia rosyjskiej gospodarki przez rozwój przemysłu zbrojeniowego jest zdaniem Moczulskiego próbą nonsensowną. Przemysł ten jest przestarzały i niezbyt duży, ponadto przemysł ten może być ekonomicznie korzystny w kraju, który ma nadwyżki mocy produkcyjnych – a takim krajem Rosja nie jest.

Związek Radziecki potrafił stworzyć sytuację zagrożenia dla świata. Rosja nie ma dziś dość ludzi, żeby utrzymać silną armię. Moczulski posłużył się danymi statystycznymi: od połowy siódmej dekady zeszłego stulecia do 1991 r. w Związku Radzieckim przybywało rocznie ok. milion ludzi. Z kolei od upadku ZSRR ludność Rosji spada o ok. milion – nie licząc migracji ludności rosyjskiej z krajów postsowieckich do Federacji Rosyjskiej. W momencie rozpadu Związku Radzieckiego jego ludność wynosiła ok. 300 milionów, z czego 150 milionów przypadało na Federację Rosyjską. W roku 2000 w Rosji było już 145 milionów ludzi, a w obecnym jest prawdopodobnie 138 milionów. Moczulski zebrał kilka prognoz demograficznych dla Rosji i wyciągnął z nich średnią: w 2025 roku prawdopodobnie będzie w Rosji 130 milionów ludzi, a w 2050 – tylko 100 milionów.

Między Katarzyną II a Putinem

Moczulski wyciąga wnioski z sytuacji demograficznej Rosji dla rosyjskiej armii. Zgodnie z tradycją, Rosja Jelcynowska przekonana była, że o potęgę kraju będzie decydował czynnik militarny. Putin również uważa go za najważniejszy. „Pod tym względem – dowodzi Profesor – między Katarzyną II, Aleksandrem I, Mikołajem I, Leninem, Stalinem, Breżniewem, Jelcynem i Putinem nie ma różnicy”. Zwraca uwagę na

sukcesywnie spadającą liczbę ludzi zdolnych do służby wojskowej – zarówno z powodu spadku urodzeń, jak i ułomności fizycznych i problemów z nałogami.

W 1989 r. w Związku Radzieckim było ponad 5 milionów żołnierzy. W 2013 r. w Rosji było ich 800 tysięcy, ale ta liczba cały czas podlega redukcji. Kiedy Putin przystąpił do odbudowy rosyjskich sił zbrojnych, 60 proc. oficerów było w randze majora lub wyżej. Trzeba było zredukować liczbę oficerów wyższej rangi, którzy pełnili fikcyjne stanowiska. Według realizowanego w tej chwili planu (który miał zostać sfinalizowany w latach 2009-2012): należy zredukować 20 proc. generałów, 64 proc. pułkowników, 82 proc. podpułkowników, 75 proc. majorów, 50 proc. kapitanów i zwiększyć o 20 proc. podporuczników i poruczników. Jeżeli ten plan (który został przerwany m. in. z powodu konfliktu ukraińskiego) zostanie zrealizowany, to nadwyżka wyższych oficerów zostanie zredukowana, ale dalej będzie ona bardzo duża. Moczulski podsumowuje: „Podstawowym problemem Rosji jest to, że z jednej strony jest za dużo ludzi zbędnych, z drugiej nie ma ludzi potrzebnych”.

Jednocześnie w Rosji (nawet mimo trwającej wojny i problemów z nią związanych) trwa bardzo dynamiczny wzrost nakładów na wojsko. W 2009 r. pod tym względem (w liczbach bezwzględnych) Rosja zajmowała piąte miejsce na świecie: za USA, Chinami, Wielką Brytanią, Francją, a przed Japonią i Niemcami. W związku z kryzysem państwa zachodnie obcięły wydatki na armię – i w 2012 r. Rosja wybiła się na trzecie miejsce: wyprzedziła nieznacznie Francję i Wielką Brytanię. Rosja poprawiła też swoją sytuację względem USA: jeśli w roku 2009 rosyjskie wydatki na armię były jedenaście razy mniejsze niż amerykańskie, to w tej

chwili są tylko dziewięciokrotnie mniejsze (i stanowią ok. 40 proc. wydatków chińskich). Moczulski zwraca uwagę na sposób przedstawiania tych danych w mediach: można powiedzieć, że wydatki rosyjskie są trzecie co do wielkości na świecie, ale można też powiedzieć, że stanowią jedną dziewiątą USA.

Na zakończenie Moczulski rozprawił się z mitem o zagrożeniu jądrowym ze strony Rosji dowodząc, że strategiczne siły jądrowe nie są narzędziem wojny, ale wyłącznie narzędziem politycznym, narzędziem powstrzymywania. Siły jądrowe były narzędziem wojny tylko przez kilka lat po Hiroszynie – od momentu zdobycia przez Moskwę bomby nuklearnej siły te są wyłącznie narzędziem polityki.
